W 20-lecie śmierci Włodzimierza Majakowskiego

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 16 kwietnia 1950 r. | Nr 3 Rok I

MIECZYSŁAW JASTRUN

STACJA — MAJAKOWSKI

W nocnej ciszy
Pracują motory
Po dwa, po cztery,
W nocnej ciszy
Iskrami trzaskają
Elektryczne ogiery.
Czy mnie słyszysz?
Lat dwadzieścia
To dla Ciebie drobnostka.
Ty masz kroki siedmiowiekowe —
Mały spacer:
Tyle co z przedmieścia
Przejść do miasta.
Kto wie? Może wkrótce
Będziemy przedłużać,
Przeszczepiać jak pędy jabłoni
Życie ludzkie.
Wtedy
Wszyscy diabli wezmą problem Fausta.

Przez wyłom
W śmierci
Słyszysz
Bijące serce człowieka?
Życie — największy z cudów techniki stworzenia.
Jakże mogłeś? Odpowiedz!
Czy tak śmiertelne były wrogów ukąszenia,
Czy miłość?
Od takich słów podnoszą się kamienne wieka —
Lecz nie wypłynie łza spod zatrzaśniętych powiek.

Słyszysz
Jak budzą się miasta-olbrzymy
Naładowane elektrycznością,
Widzisz
Jak wyłamują się zarysy gmachów
Z nieba
Oblężonego przez dymy.
Widzisz
Kuli ziemskiej połowę,
Jakby kto rozciął:
Tu błyszczą rzeki, tam łańcuch gór się czerni,
Na wschód — Chiny Ludowe,
Na zachód
Aż po czerwony Berlin...

Na osiwiałych od pożaru gruntach
Odbudowana Warszawa.
Wiatr w ruinach już nocą nie rzęzi.
Spokojne niebo.
Patrz tam
Odrosło granitowe drzewo,
Pień bez gałęzi:
Kolumna Zygmunta.

Wśród ogromnej świata panoramy
Ludów lawa gorąca przestrzenie zalewa.
Na starożytnym Pekinie
I z Brandenburskiej bramy
Czerwony sztandar powiewa.
Jedna granica wolności,
Jedna wolności łuna.
Za tę granicę
I u nas
Mieszczuch unosił w portfelu duszę,
Z obszarnikiem zmawiał się szpicel,
Nie jeden uszedł,
W czterdziestym czwartym i piątym roku.

Ty wiesz
Rewolucja jak lwica
Zawsze gotowa do skoku.
Kiedy Październik wołał do broni
Twe wiersze stanęły w szyku.
Rewolucja to lwica.
Ty nie łasiłeś się do niej.
Od jej ryku
Miałeś głos nie mniejszy.

Udźwignąć świata ogromy
Cóż to dla Ciebie?
Ty, coś przenosił domy
I rzeki zawracał w gniewie
Potęgą wierszy.

Odpisują Cię żywcem
Dzisiaj.
Ja z dumy i z szacunku Twoich słów nie ruszę.
Ty już za życia
Byłeś nie gorszą od elektrycznej
Stacją
Dalekobieżnych wzruszeń.

Jakim paliwem
Tuczyłeś kotły maszyn?
Że całym pędem
Wjeżdżasz w epokę naszą
Żywy
W światłach legendy.

Słyszę:
Pracują motory,
Podziemna stacja błyska,
Słyszę
W łomocie wagonów
Głoski
Twojego nazwiska.
Przewozisz
Ludzi tysiące,
Rozsyłasz
Ruchu promienie,
Toczysz podziemne słońce,
Nieustające
Natchnienie.

ADAM WAŻYK

Poezja w służbie rewolucji

Majakowski jest poetą rosyjskim, poetą radzieckim, poetą współczesnego świata. Te trzy określenia stanowią jedność tak oczywistą, jak to, że naród rosyjski pierwszy obalił władzę kapitału, że skupił wokół siebie kilkadziesiąt narodów w dziele budowy pierwszego państwa socjalistycznego, że nowe państwo robotników i chłopów stało się kierowniczą siłą storii światowej. Majakowski przekaz nam poetycki wykładnik przełomu h.storycznego: bolesne narodziny rewolucji, patos walki o socjalizm, perspektywę rozwojową — jednakowo ważną dla narodu radzieckiego, jak dla wszystkich narodów.

Jak każde zjawisko tego świata, trzeba ujmować poezję Majakowskiego w jej rozwoju. Wtedy dopiero można docenić znaczenie i wielkość poety.

Majakowski zaczął pisać na kilka lat przed pierwszą wojną imperialistyczną. Z początku występował w grupie rosyjskich futurystów, uprawiał bunt cyganerii artystycznej, która grążyła się w zamęcie pojęć, choć instynktownie i odruchowo sprzyjała siłom rewolucyjnym. Dyspozycje ówczesnych futurystów rosyjskich mogą nas interesować tylko z tego względu, że Majakowski potrafił je przełamać i stać się świadomym piewcą rewolucji. Stan buntowniczy inteligencji zawieszonej między klasami zasługuje na uwagę w twórczości Majakowskiego ze względu na to, że rosyjska klasa robotnicza i kierująca nią partia Lenina-Stalina w ogniu rewolucji przetopiła ten na wpół ślepy bunt inteligenta w najczystszą poezję sprawy socjalizmu.

W odróżnieniu od innych futurystów rosyjskich, ówczesny bunt Majakowskiego nie obracał się wyłącznie w ramach estetyki poetyckiej, ale miał przede wszystkim silne bezpośrednie natężenie moralne. Wiersze Majakowskiego natrętnie i bez ogródek wyrażały jego nienawiść, wstręt i pogardę dla filistra, posiadacza, konsumenta dóbr materialnych i duchowych, wytwarzanych dla niego przez innych. Młody Majakowski przekomarzał się z sytym filistrem, drażnił go wizjami jakiegoś obłąkańczego odwetu na jego duszy i ciele. Nienawiść do porządku, który był porządkiem kapitalistycznego świata, do jego moralności, sztuki, religii i zbrukanej w zarodku miłości, urosła do tonów tragicznych w poemacie „Obłok w spodniach" pisanym w latach 1914-15. Ten tragizm składa się z wielu czynników: obnażone wnętrze jednostki ludzkiej, która przeżywa zło otaczającego świata i szamoce się zatruta tym złem, spodlona; gest proroka, ale proroka wołającego na puszczy; sprzeciw wygłaszany w imię upośledzonych społecznie, ale sprzeciw romantycznie samotny; głos człowieka, który przeczuwa siły rewolucyjne, bo wierzy w nie, ale ich nie dostrzega. Odbija się w tym poemacie i chwila historyczna, i pozycja, jaka przypadała poecie w społeczeństwie. Wybuch wojny 1914 roku chwilowo zahamował w Rosji narastającą falę rewolucyjną. Przywódcy wszystkich ówczesnych partii i frakcji politycznych z wyjątkiem bolszewików jawnie lub pół jawnie przeszli na służbę imperializmu carskiego. Bolszewicy kuli broń w podziemiach. Robotnicy i chłopi brali karabiny i na razie szli na front. Była to więc chwila pozornego, ale przygnębiającego triumfu nienawistnych Majakowskiemu sił imperialistycznych, chwila pozornej nieobecności zamarłych jakoby ale przyczajonych do skoku sił rewolucyjnych. A pozycja młodego poety była samotnicza i skazywała go na krzykliwe facecje artysty-cygana. Majakowski roztaczał potępieńcze wizje wielkiego miasta, kapitalistycznej metropolii z dzielnicami bogaczy, z siedliskami proletariatu i biedoty, wielkich bulwarów i nędznych uliczek, które w jego obrazach, przenośniach i hiperbolach zmieniały się w jakieś bolesne twory, jedne — dla swojej szpetoty moralnej, drugie — dla fizycznej. A przecież w tym mieście złorzeczącym, pełen jadu dwudziestodwuletni Majakowski doszukiwał się źródeł siły i piękna ludzkiego w ludziach „pokrytych ospą sadzy", w robotnikach i nędzarzach. Szukał wartości humanistycznej tam właśnie, skąd miało wytrysnąć źródło rewolucji socjalistycznej.

W dniach przewrotu październikowego młody Majakowski zapisał w swoim notatniku: „Moja rewolucja". Czy zdawał sobie dokładnie sprawę z treści i perspektyw tej rewolucji? Wiedział, że zaczęło się coś zupełnie nowego, i pod tym względem na pewno się nie mylił. Ale obraz nowego życia nie był jeszcze znany historii ludzkiej. To prawda, że Majakowski we wczesnej młodości zaczytywał się w Marksie, Engelsie i Leninie, ale od znajomości myśli marksistowskiej do przelania jej w poezję droga nie była wcale łatwa. Była to droga nowa, przez nikogo nie schodzona. W pierwszych dniach Rewolucji Październikowej Majakowski aprobował przewrót społeczny żywiołowo, upajał się dynamiką rewolucji. Akcentował burzliwy i radykalny charakter przewrotu, nie wnikał jeszcze w perspektywy. Można śmiało powiedzieć, że do tego rodzaju aprobaty autor „Obłoku" był predysponowany, ale czy na samym żywiołowym entuzjazmie mógłby daleko dopłynąć?

Otóż Majakowski szybko zbliżył się do praktyki rewolucyjnej, do konkretnych zadań walki i agitacji. Robota haseł okolicznościowych, agitacyjna praca w Rosyjskiej Agencji Telegraficznej wyostrzyła w nim zmysł polityczny, dała mu przygotowanie do późniejszych wierszy i wielkich poematów zawierających ścisłe, trafne, lapidarne sformułowanie myśli politycznej, organiczne połączenia rewolucyjnego patriotyzmu z internacjonalizmem proletariackim.

Poemat „Włodzimierz Iljicz Lenin" jest utworem bez precedensu w poezji. Czytając poszczególne ustępy tego poematu, warto porównywać je z „Krótkim Kursem Historii WKP(b)". W poemacie „Dobrze" i zamierzonym poemacie „Pełnym głosem" doszła do szczególnego natężenia jedna z najistotniejszych może ambicji Majakowskiego: ambicja łączenia spraw politycznych ze sferą życia osobistego, chwytanie związków między jednostką a przemianami rewolucyjnymi kraju. Ta humanistyczna ambicja była dożywotnią dobrowolną daniną składaną rewolucji przez człowieka, który wstrząs jej najsilniej odczuł we własnej poezji, wstrząs wyzwalający z ideologii koszmaru.

Bo tragiczny splot „Obłoku" został rozwiązany przez rewolucję socjalistyczną. Człowiek uwolnił się od koszmaru, który dusił go zewsząd i gnieździł się w nim samym. Odtąd Majakowski przestaje wygłaszać prawdy, mgliście i z trudem wyczytane w duszy udręczonej jednostki, zaczyna wypowiadać prawdy powszechne, zachęcające do życia i działania. Nadaje swoim wierszom ton oratora przemawiającego z trybuny. Na podobny ton nastrajał się i dawniej, przed rewolucją, ale teraz zmieniła się głoszona treść i poczucie swojej roli w społeczeństwie. Gest samotnego kaznodziei przerodził się w nawoływanie trybuna, który czuje za sobą kroki historii. Wybujałe, krzykliwe przenośnie jego dawnych wierszy ustąpiły miejsca retoryce wielkich liczb i wielkich porównań. Wyzwoliła się ukryta niegdyś w hiperbolach żądza patosu, którego brakło mu w dawnym świecie a który odnajduje w nowym. Zjadliwa drwina przechodzi w optymistyczny humor. Przed rewolucją drażnił z estrady dawnego słuchacza, teraz prowadzi z nowym słuchaczem żartobliwą przyjacielską gawędę, liryczną rozmowę przesianą potocznymi, ludowymi zwrotami. Grupuje w swoich wierszach konkretne fakty z życia radzieckiego, umieszcza je w szerokiej perspektywie myśli społecznej. Potrafi przechodzić od agitujących zawołań do zastanawiających refleksyjnych obrazów.

Walka z interwencją imperialistyczną, z burżuazją wiejską, realizacja pierwszego stalinowskiego planu pięcioletniego, budowa socjalizmu, to nowa treść tej poezji. Z podróży zagranicznych Majakowski przywozi wiersze o losie innych narodów, o sytuacji klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, o stanie ruchu rewolucyjnego na świecie. Pisze o stosunkach kolonialnych, o losie Murzynów amerykańskich. Walczy w swoich wierszach z imperializmem i faszyzmem, z nosicielami wojny. Na sztandarze wyzwolonych mas ludowych wypisuje hasło: Pokój — Trud — Pieśń. Widzi równocześnie najbliższe zadania i dalekie cele. Marzy o przyszłości. Ale nigdy nie bywa to ucieczka w przyszłość — od trudnej walki dnia dzisiejszego. Kiedy mówi do potomnych, przesyła w „komunistyczne daleko" żmudne bolesne doświadczenie swoich czasów.

Od pierwszych swoich utworów Majakowski czerpał zawsze z mowy żywej, pospolitej, ludowej. Nie z zapóźnionych gwarowych form języka, ale z nowych wywoływanych zmianami życia. Dążność ta rozwijała się ze szczególną siłą, bo nadawał swoim wierszom charakter mowy oratora przemawiającego bezpośrednio do publiczności. Rewolucja Październikowa przepoiła życie ludzkie w ZSRR świadomością polityczną, język polityczny stał się językiem ludzkiego bytu, walki, odbudowy kraju i budowy socjalizmu. Wprowadzając konkretny język polityczny do zakresu poezji, Majakowski dokonał prawdziwego aktu nowatorstwa. Po raz pierwszy język poezji stał się wymową konkretnych faktów gospodarczych i społecznych, potoczył się jednym wielkim, patetycznym nurtem rewolucyjnej walki i pracy.

Patos rewolucyjny Majakowskiego wyniósł go wysoko ponad poezję współczesnych. W tym patosie, w tym natężeniu tonu, w moralnej sile wypowiedzi znalazła odbicie skala Rewolucji Październikowej i jej znaczenie dla dalszego biegu historii. Jest to odbicie tak pełne, tak konkretne, a równocześnie wyposażone przez poetę w tak wielką siłę uogólnienia, że rewolucjoniści wszystkich narodów, wszyscy ludzie walczący o postęp i socjalizm, w każdej konkretnej sytuacji, sięgając do Majakowskiego znajdują w nim potwierdzenie swoich podstawowych uczuć i myśli, chleb i sól duchową, nieustającą pobudkę.

Ta poezja żyje żywotnością rewolucji,

Adam Ważyk.

JERZY PAŃSKI

O REWOLUCJI KULTURALNEJ

W ostatniej, niedokończonej i mało znanej powieści Prusa „Przemiany" jest taka scena rozmowy z wiejskim pastuchem, którego nauczono czytać:

...Ukazał się szesnasto- lub siedemnastoletni chłopak przyodziany w łachman szyneli żołnierskiej, w podarty kapelusz i bardzo brudne majtki zgrzebne, oberwane u dołu. W ręku trzymał pęczek słomy, z której plótł taśmę. Zobaczywszy tyle państwa zdjął z głowy kapelusz i z otwartymi ustami przypatrywał się nadchodzącym.

— Okropność! — szepnęła Krystyna. — Jak on wygląda...

— Niewiele zyskał na umiejętności czytania — odparł tym samym tonem Łoski. — Ty jesteś Szczepanek Stopa? — zwrócił się do chłopca.

— Ja — nie bez wahania odpowiedział zapytany.

— Umiesz czytać?

Milczenie.

— No, śmiało odpowiadaj: kto cię nauczył czytać?

— Państwo z pałacu — odpowiedział chłopak bojaźliwie.

— Z pałacu, z Klejnotu. Więc umiesz czytać? — nalegał Łoski.

— Przecie pan widzi, że nie mam nijakiej książki — odpowiedział chłopak proszącym tonem. — Pilnuję świń, jak się należy.

— Co to znaczy? — szepnęła panna Krystyna do Łoskiego. A głośno rzekła:

— Boisz się nas, czy co? My twoi przyjaciele, przyszliśmy cię poznać, a może i dopomóc.

— Na miłość boską! — rzekł po francusku Łoski — niech pani nie wdaje się w żadne obietnice. Trzeba mieć trochę sumienia...

. . . . . .

— Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że umiesz czytać? To przecie bardzo dobrze, jeżeli kto nauczy się czytać.

— Bardzo, to nie — mruknął chłopak.

— Dlaczego?

— Bo jak mnie tutaj, na wiosnę, zdybał pan dziedzic z książką w garści, to mało o mnie kija nie połamał.

— Co też ty plecies! — zawołał przerażony Łoski.

— Mówię prawdę. Przecie jeszcze mam znaki. Teraz bym już nigdy nie wyszedł z książką w pole.

Łoski chwycił się ręką za usta, jakby go zęby zabolały.

Tak oto u schyłku życia poświadczał Prus bankructwo wielkich ideałów swego pokolenia. Bezużyteczność niesienia oświaty w lud, nie mający możności wydobycia się ze swej nędzy i poniżenia, nie mający możności spożywania dobrodziejstw tej oświaty, ukazała się staremu pozytywiście wówczas dopiero, kiedy ta oświata stała się niebezpieczna. Bo nie napróżno łoił Szczepankowi skórę dziedzic Klejnotu: w następnym rozdziale opowiada Prus, jak to odnalazł Szczepanka „nihilista" Permski i wciskał mu w rękę socjalistyczne broszurki.

Pozytywistyczne hasło szerzenia oświaty śród ludu, wywodzące się z powstaniowych doświadczeń, z obawy przed „dzikością" tego ludu, z owoczesnej wiary postępowego mieszczaństwa we wszechpotęgę wiedzy, z potrzeby sumienia porastającej w pierze klasy społecznej — mogło być w obiegu, póki z poezji nie przechodziło w działanie, póki chłopcu pasącemu świnie można było dać książkę do ręki bez obawy, że potrafi z niej zrobić właściwy użytek. Trzeba je było wycofać z chwilą, kiedy rozwijać się począł w Polsce ruch rewolucyjny, kiedy zjawili się i na wsi ludzie, zdolni uczynić z owej książki to, czym jedynie być powinna: narzędzie walki o polepszenie ludzkiej doli.

Wiele biadano w Polsce międzywojennej nad zjawiskiem powrotnego analfabetyzmu. Powszechne nauczanie nie było u nas nigdy zrealizowane całkowicie, roczniki statystyczne wykazywały przeszło 90% dzieci w wieku szkolnym objętych nauczaniem, ale doroczny pobór rekruta ujawniał zastraszający (choć przemilczany) procent analfabetów. Byli to i ci, dla których szkoła nie znalazła miejsca, i ci, co w jednoklasowej szkole wiejskiej niewiele poznali ponad elementarz, ale także i ci, co po dwu- trzyletniej nauce wracali do świń, do gęsi, do kartofli bez omasty, do izby bez nafty — i nie mieli co zrobić z wyniesioną ze szkoły świetną sztuką czytania, nie mieli do czego jej przyłożyć, a nade wszystko nie widzieli, co by mogła im pomóc. Ta oświata, którą niósł na wieś pleban, panienka ze dworu, nauczyciel wiejski — miała przecie lud wychowywać w pokorze, godzić z rzeczywistością, uśmierzać bunty i łagodzić gniew; ale właśnie dla pokornych i pogodzonych z rzeczywistością — stawała się bezużyteczna. Analfabetyzm na wsi, gdzie co czwarty mieszkaniec był „zbędny", nie znajdował dla siebie produkcyjnej pracy i obciążał gospodarstwo, które nie mogło go wyżywić — był dla kapitalizmu równie nieodzowny, jak bezrobocie, a nawet bardziej jeszcze: pozwalał bezrobociu rosnąć ponad miarę, przy której — śród mas uświadomionych — mogło stać się groźne. Toteż nader skromnie prezentowały się oświatowe budżety, wzniosłe hasła pozytywistów dawno złożone zostały do panteonu narodowych świętości, które się czci zamiast je realizować, i nikt już z możnych tego świata nie wierzył sędziemu z wiersza Konopnickiej („...Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę"), że oświata wyplenić może „zbrodnicze instynkty" ludu.

Kiedy dziś mowa o ofensywie kulturalnej, nie wszyscy może zdają sobie sprawę, jak dalece to hasło zmieniło od owych czasów charakter, treść i—zwłaszcza—kierunek. Asystowałem niedawno przy sporze na temat, czy w Polsce nastąpiła już właściwie rewolucja kulturalna; ktoś dowodził, że skoro procesy przemian w świadomości ludzkiej są procesami następczymi w stosunku do przemian społeczno-gospodarczych, założyć można, że jeśli rewolucja polityczna (zdobycie władzy przez proletariat) i rewolucja gospodarcza (likwidacja kapitału i obszarnictwa) dokonała się bezpośrednio po wyzwoleniu, rewolucja kulturalna następuje dopiero teraz.

Pomijając błędność teoretyczną takiego rozrywania rewolucji na trzy niezwiązane ze sobą części — wydaje się, iż dość rozejrzeć się po Polsce, by dostrzec jednorodność tego procesu i zmierzyć postępy już dokonanej rewolucji kulturalnej. I najbardziej bodaj bijącym w oczy przejawem tej rewolucji jest to właśnie, że zmienił się kierunek ofensywy: to nie warstwy „oświecone" idą dziś w lud, by budzić potrzebę oświaty, to najszersze masy ludowe same o tę oświatę szturmują; to nie książka szuka czytelnika, lecz czytelnik domaga się książki; to nie wydawca stara się o zatrudnienie swego aparatu produkcyjnego, lecz odbiorca zgłasza tak wzrastające zapotrzebowanie, iż aparat produkcyjny nie może za nim nadążyć.

Rewolucja nie tylko się dokonała; jej rozwój zaskakuje nas często swoim rozmachem, zastaje nas nieprzygotowanych: nie potrafimy tak rozwinąć działalności prasowej, by objąć nią cały kraj, nie potrafimy dotrzeć z książką wszędzie tam, gdzie na nią czekają, nie potrafimy rzucić na rynek takiej ilości literatury popularno-naukowej i technicznej, jaką rynek mógłby wchłonąć, nasza twórczość literacka, dramatyczna, artystyczna pozostaje daleko w tyle poza potrzebami mas, i jeśli gdzie odrabiać trzeba zapóźnienia kulturalnej rewolucji, to raczej w środowiskach twórczych, niż w środowisku odbiorców. Rewolucja polityczna, jaka się w Polsce dokonała, wyzwoliła olbrzymie siły ludowe; te siły budują już — w fabrykach, gospodarstwach, świetlicach, załogach murarskich — nową, socjalistyczną kulturę, nie oglądając się na opieszałych i staromodnych nosicieli oświaty. Rewolucja wciągnęła do procesów twórczych nie tylko tych, którzy biorą w nich bezpośredni, świadomy udział. Wielu chłopów buduje już spółdzielnie produkcyjne, a wielu zapewne nie chce jeszcze o nich słyszeć; ale właśnie — czy nie chce słyszeć? Kiedy pozytywistyczne emancypantki uczyły wiejskie dzieci rachunków lub geografii — była to dla nich często wiedza daleka, obca i nieprzydatna. Ale kto dziś na wsi — bez względu na to, czy jest zwolennikiem spółdzielczości produkcyjnej czy jej wrogiem — nie czuje, że sprawa spółdzielczości produkcyjnej jest jego własną, osobistą sprawą, sprawą jego przyszłości, jego społecznego i gospodarczego awansu — jego „być albo nie być"? Któryż chłopak wiejski w rodzaju owego Szczepanka nie wie, że książka otwiera mu drogę do lepszego życia i że nie ma innych przeszkód na tej drodze?

Toteż jeśli dziś mówimy o ofensywie kulturalnej, jeśli w zbliżającym się Tygodniu Oświaty, Książki i Prasy chcemy zmobilizować wszystkie siły do tej ofensywy — myślimy przede wszystkim o tym, by wzmóc działalność naszych sił twórczych w dziedzinie kultury, by usprawnić nasz aparat produkcyjny, by poszerzyć nasz aparat rozdzielczy — tak aby objąć jak najszersze tereny, by dotrzeć do najodleglejszych zakątków, by produkcja dóbr kulturalnych doścignąć mogła jak najprędzej wciąż rosnące zapotrzebowanie.

Ale nie jest to, rzecz prosta, zagadnienie jedynie produkcyjne. Brałem niedawno udział w roboczym zjeździe terenowych działaczy oświatowych. Działacze ci nie należą na ogół do przodującego aktywu politycznego na swoim terenie; można się było raczej obawiać, że dość żywe są śród nich jeszcze stare tradycje „apolitycznej" oświaty, że niejednemu z nich trudno będzie oswoić się z myślą, że prowadząc swą pracę, bierze w gruncie rzeczy udział w walce klasowej, i to bynajmniej nie na najspokojniejszym odcinku. Okazało się jednak, że rzeczywistość wychowała ich lepiej niż przemówienia: wystarczyło zorganizować we wsi kółko wspólnego czytania Orzeszkowej lub Prusa, a już złym okiem poczynali spoglądać zamożniejsi gospodarze; wystarczyło wyłożyć na stół broszurkę o pochodzeniu życia na ziemi, a już z pobliskiego klasztoru OO. Redemptorystów śpieszyli misjonarze z kazaniami przeciwko bezbożnictwu, materializmowi i traktorom; niejeden taki zespół znalazł się nagle i niespodziewanie dla samego siebie w ogniu walki — i niejeden w tej walce właśnie odkrył dopiero swoją stronę barykady. Mieli rację ojcowie redemptoryści, jak miał rację dziedzic na Klejnocie: darmo się kiedyś łudził Promyk, że „oświata ludu dokona cudu" pogodzenia uciśnionych z przygniatającym ich jarzmem — ta potrzeba wiedzy, jaką zgłaszają dziś masy ludowe w Polsce, jest przede wszystkim poszukiwaniem oręża w walce klasowej.

Rewolucja socjalistyczna zamyka okres żywiołowego biegu historii, a rozpoczyna jej życie świadome. W tej budowie, po raz pierwszy na naukowych podstawach, nowego ustroju i nowego życia w Polsce biorą udział najszersze masy — i trzeba, by udział ten był jak najbardziej świadomy. Nie jesteśmy bezstronnymi obserwatorami zachodzących przemian i nie chcemy wychowywać bezstronnych obserwatorów. Wiemy zresztą, komu to byłoby na rękę; wiemy, komu służyły pozornie tylko naiwne teorie, według których nauczyciel powinien „bezstronnie" przedstawić cały wachlarz poglądów, pozostawiając wybór krytycyzmowi ucznia. Ten krytycyzm — to nic innego, jak zastarzałe warstwy świadomości, jak naleciałości i nawyki, które decydują o upodobaniach, jak odwoływanie się do przyzwyczajeń, które dają staremu pierwszeństwo przed nowym. Prowadzimy walkę o budowę sprawiedliwego ustroju w Polsce, i musimy uzbroić się do tej walki; budujemy socjalizm, i trzeba, by wraz z powstawaniem zrębów socjalistycznego ustroju rosły zręby świadomości socjalistycznej człowieka w Polsce.

Dyskusja literacka, jakiej niedawno byliśmy świadkami, rozpoczęła okres nowego wartościowania osiągnięć naszej literatury powojennej. Robota słuszna i pilnie potrzebna, choć trudno ją wykonać od razu. Potrzebna nie po to, jak się wydaje niektórym gorliwym i niektórym zdezorientowanym jej hałaśliwością, by raz na zawsze przeprowadzić podział na złych i dobrych, na prawomyślnych i obce elementy. Zbyt wiele nagromadziło się spraw niezałatwionych w dziedzinie kryteriów: to powoduje, że dyskutanci w braku argumentów dobierają się do osób. Tymczasem wydaje się, iż znacznie mniej w tej chwili idzie o osoby niż o kryteria, i że cenzurki wystawiane w wadliwej skali ocen przynieść mogą więcej szkody niż pożytku.

Tadeusz Borowski w swoich „Rozmowach" poddaje krytyce antyfaszyzm naszej literatury pierwszych lat powojennych, i pisząc o odgłosach, jakie w mieszczańskiej krytyce wywołało „Pożegnanie z Marią", powiada: „Ten przykład wskazuje, że należy przewartościowywać dzieła, które w latach odchylenia nacjonalistycznego określaliśmy mianem „antyfaszystowskich", „demaskujących faszyzm", „moralizatorskich", myśląc, że to wystarczy na wieki". Wynikałoby z tego, że owo „demaskowanie faszyzmu" było dobre w pierwszym okresie, a obecnie już nie wystarcza, dziś trzeba ukazywać jego klasowe oblicze. Ale co to znaczy w takim razie demaskowanie faszyzmu? Rzecz przecie w tym, że to wcale nie była literatura demaskatorska: ukazywała ona bestię ludzką, przy czym wcale nie ograniczała się do szukania jej śród kapów i esesmanów, — owszem, uważała sobie za chlubę, że odkrywała ją nie tylko pod mundurem, lecz i pod pasiakiem, że w całej okupacji widziała tylko orgię bestialstwa, że cały świat usiłowała przedstawić jako rezerwat dzikich zwierząt — to znaczy tak właśnie, jak go widział drobnomieszczanin, tak właśnie, jak mu go ukazywał faszyzm. Ta literatura była fałszywa nie dlatego, że za bestialstwem Ilzy Koch nie obnażała bestialstwa Kruppa — tylko dlatego, że zatracała wiarę w człowieka, że prowadziła do tego właśnie, na czym wyrasta faszyzm — do postawy z gruntu antyhumanistycznej, jak najbardziej wrogiej światopoglądowi socjalistycznemu. A postawa ta sięgała tak głęboko, że nieraz nakazywała pisarzowi szukanie ucieczki od własnego osądu świata w podstawianiu bestii jako narratora, w literackiej fikcji „pierwszej osoby". Tutaj właśnie zbiega się niby-demaskatorstwo „sklepikarza, któremu puściła się córka" z niby - demaskatorstwem egzystencjalizmu. I kiedy mówimy o budowaniu świadomości socjalistycznej, o światopoglądzie wyzwolonym z ucisku — mó-

(dokończenie na str. 7)

ZYGFRYD SAWKO

W WALCE O POKÓJ

Lampami nad linią tramwajową
W alei
Kołysał wiatr.

Zimny wiatr, wieczór,
Zawieja,
Trzaski zamków i ciemność...
Szliśmy pieszo:
My
I zawieja.
Narody deptały przemoc.

Pociski śnieżycę czesząc —
Ginęły w śnieżycy,
Gasły nie śpiesząc,
Zawracały grożąc i krzycząc...

Rozpłynęło się wszystko w wichurze
Pełnej śniegu.
Księżyc oczy zmrużył...
Zamieć.

Szliśmy z zawieją pod rękę
Przeciwko wiatrom — przez kopce.
Ginęli chłopcy
Nieulękli...

Szliśmy przeciwko wiatrom.
Rozpłynęło się wszystko.
Ślady zatarł
Gwizd syren na torach pocisków.

Kurczą się płatki śniegu.

W ciepłej ręce,
Gdyby ktoś zechciał —
stopnieje biegun.

W alejach wiosna,
Słońce świeci
I grzeje,
Domy wychodzą z zamieci...

Patrzymy: Coraz więcej
Ludzi
Walczy o pokój,
Coraz cieplejsze ręce:
Zamieć w aleje nie wróci.

Komuniści i katolicy wspólnie bronią pokoju

Przemawiając na XII Kongresie Francuskiej Partii Komunistycznej, Roger Garaudy poruszył sprawę jedności akcji komunistów z katolikami.

„Walka o 3 tysiące franków, przeciwko wojnie w Vietnamie, przeciw bombie atomowej i krucjacie antyradzieckiej, walka słuszna w oczach 80% Francuzów, zostałaby rychło wygrana, gdyby wzięli w niej udział wszyscy, którzy uważają ją za słuszną. Jednym z zasadniczych problemów naszego Kongresu jest więc rozszerzenie jednosci frontu" — oświadczył Garaudy, stwierdzając na konkretnych faktach i przykładach — chrześcijańskich związków zawodowych, ruchu katolików postępowych, ludowego ruchu rodzinnego — wzmaganie się prądu jedności akcji w ciągu ostatnich miesięcy.

Potrzeba wyjaśnienia zasad tej jedności w trakcie czynnej akcji znalazła wyraz ideologiczny w szeregu poważnych publikacji, jak np. w studium dominikanina Desroches o znaczeniu marksizmu, które obala karykaturalny obraz marksizmu-leninizmu wychodzący spod pióra jego nieuczciwych przeciwników. Zbiorowe dzieło Guillemina, Mandouze'a i księdza Montuelard analizujące pojęcie partii politycznych jako reprezentacji interesów klas i ich odłamów daje katolikom możność demaskowania fałszywej krucjaty, w którą ginący kapitalizm chciałby wciągnąć Kościół.

Najwybitniejszy obecnie teolog protestancki, pastor Karol Barth, w swojej książce „Kościół przeciwko Wschodowi i Zachodowi" stwierdza, że Kościół nie może być utożsamiany z „Zachodem". Jak długo na Zachodzie istnieje „wolność" zezwalająca na wrzucanie pszenicy do morza, gdy ludzie giną z głodu — chrześcijanie nie mają prawa głosić pod adresem Wschodu bezwarunkowej negacji. Pastor Barth wykazuje, że antykomunizm burżuazji zachodniej wywodzi się ze strachu i nienawiści. Na „bezbożników" można patrzeć bez strachu i nienawiści tylko wtedy, gdy samemu ma się coś do zaofiarowania.

Hierarchia kościelna i dekret Watykanu nie zdołały zahamować potężnego prądu w masach katolickich do braterskiej współpracy z komunistami — mówił dalej Garaudy. Polityka Watykanu zarówno wobec Niemiec jak wobec Związku Radzieckiego i demokracji ludowych jest całkowicie zbieżna z polityką imperializmu amerykańskiego. Nasza walka przeciw tej polityce posiada więc charakter polityczny a nie religijny, o czym katolicy coraz wyraźniej się przekonują.

Garaudy wskazał następnie, że jedność akcji z katolikami nie wymaga koniecznie ich zgody na potępienie tej polityki wysokiego kleru. Katolik przyłącza się do naszej akcji celem ocalenia niezawisłości narodowej i pokoju, przeciw niesionej przez plan Marshalla kolonizacji i nędzy, przeciw niewoli i wojnie, następstwom paktu atlantyckiego. Powinniśmy się zbliżyć do katolików takich, jakimi są a nie jakimi chcielibyśmy ich widzieć. Potrafimy uszanować również takie uczucia i troski, jakich nie podzielamy. Punktem wyjścia wspólnej akcji jest wspólne doświadczenie nędzy i walki. Chrześcijanin uczestnicząc w tej samej walce co my, da jej uzasadnienie inne niż my: on walczy, być może, o polepszenie swej sytuacji w imię sprawiedliwości, walczy przeciwko wojnie kolonialnej w imię zasad humanitaryzmu. Ogólnie rzecz biorąc — katolik walczący u naszego boku uważa za kwestię sumienia to co dla nas jest wyrazem świadomości klasowej. Przeciwieństwa kapitalizmu osiągnęły taką głębię, że stają się nie do zniesienia ze stanowiska moralnego. Garaudy wypowiedział się przeciw sekciarstwu, które występuje u niektórych komunistów przeszkadzając w osiągnięciu jedności akcji z katolikami. A katolicy posiadają troski codzienne podobne do naszych, choć umieszczają je w innych perspektywach.

Lojalne wprowadzanie w czyn wspólnej akcji nie może jednak oznaczać rezygnacji z krytycznej czujności. Komunista w żadnych okolicznościach nie może przestać być komunistą. Konfrontacja na tle wspólnej walki może być bardzo pouczająca. Np. robotnicy katoliccy w pewnej fabryce są zgodni z komunistami co do tego, że trzeba walczyć o dodatek 3 tys. franków, lecz odmawiają potępienia we wspólnej odezwie rządu Bidault, może w przekonaniu, że państwo jest instytucją ponadklasową. Wybucha strajk — i na pomoc fabrykantowi przybywa gwardia ruchoma. Związek między wyzyskiwaczem robotników a państwem, które przeciw robotnikom wysyła policję z gumowymi pałkami, obnaża się w całej jaskrawości. Robotnicy katoliccy na własnym doświadczeniu poznają istotę państwa klasowego.

Garaudy przypomniał następnie słowa katolika Lacroix: „Niemożliwe jest zwalczanie komunizmu bez przymierza z faszystami. Niemożliwe jest również zwalczanie faszyzmu bez przymierza z komunistami".

Mamy tę pewność — mówił Garaudy — że poza garstką pasożytów zdradzających naród nie znamy innych wrogów narodu francuskiego. Z wszystkimi, którzy żyją ze swej pracy, produkują dla nas chleb lub komponują dla nas pieśni, możemy rozwiązać wspólnie wszystkie problemy, jeżeli ukażemy jeszcze szersze perspektywy dla dalszej akcji.

Następnie Garaudy wykazał nieuczciwość i fałsze argumentacji antykomunistycznej. Burżuazja utrzymuje, że broni „wartości duchowych", co w społeczeństwie rządzonym przez prawo pieniądza jest oczywistym absurdem. Prasa marshallowska krzyczy, że „komunizm nie da się pogodzić z chrześcijańskim poszanowaniem osobowości". Niechże katolicy zastanowią się nad takim zjawiskiem: Maurice Schumann, który podczas wojny przez radio londyńskie obiecywał zdrajcom bezkarnie chodzącym dziś po ulicach karę śmierci — obecnie potrząsa w „Aube" trupem jakiegoś Petkowa czy innego zdrajcy jako straszakiem na swoich czytelników.

Czyż bezstronny katolik nie zdziwi się, że Schumann oburza się na stracenie jednego zdrajcy a nie znajduje ani jednego słowa oburzenia gdy jego katolicki wspólnik z MRP Pierre de Chevigne dla pomszczenia śmierci 20 żołnierzy kazał zmasakrować 80 tysięcy Malgaszów? Czy to nie dziwne, że Maurice Schumann nie znalazł słowa potępienia, gdy bombardowanie Haifongu w dniu 23 listopada r. 1946 spowodowało 6 tysięcy ofiar wśród ludności cywilnej — a odbyło się na rozkaz pana admirała Thierry d'Argenlieu, obecnie, w cywilu, jałmużnika karmelitów bosych?

Czy to nie dziwne, że egzekucja jednego zdrajcy w Budapeszcie czy w Sofii tak bardzo razi Maurice Schumanna a masowe egzekucje republikanów hiszpańskich na rozkaz bardzo katolickiego gen. Franco nie wydają mu się niezgodne z „poszanowaniem godności ludzkiej", podobnie jak masakra 250 tysięcy osób w Hiroszimie i 80 tysięcy w Nagasaki bombą atomową pana Trumana w chwili, gdy wojna była już dla Japonii przegrana i okrucieństwo to było bezcelowe?

„Godność ludzka" może więc być zagrożona, gdy w Budapeszcie dokonuje się egzekucji zdrajcy — ale może być ocalona, gdy w laboratoriach obrońcy katolicyzmu i zachodniej kultury, pana Trumana, przygotowuje się bombę wodorową.

Fałszywemu pojęciu burżuazyjnej wolności — wolności wyzysku, niszczenia środków spożywczych, wolności wojny — przeciwstawiają komuniści prawdziwą wolność: prawo do pracy, która znalazła pełne zastosowanie w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej.

Garaudy zakończył apelem o wyzbywanie się sekciarskich schematów, o zapoznawanie się z postulatami niekomunistów i stawianie problemu jedności w nawiązaniu do tych właśnie postulatów, jeżeli tylko są one do przyjęcia dla komunistów. We wspólnej, lojalnie prowadzonej akcji pomożemy naszym sojusznikom rozszerzyć perspektywy ich własnej akcji.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI
Przełożył ARTUR SANDAUER

BOŻA PTASZYNA

Wszedł w ukłonach.
— Jak się macie?
Czym wam służyć,
towarzyszu?
Autografem?
Dedykacją?—
— Nie.
Merci wam.
Ja sam piszę. —
— Ach, darujcie.
To nowina.
Myślę —
laluś.
A tu masz..,
Niech zahuczy więc,
niech grzmi nam
wasz bojowy,
groźny marsz.
W głowie
pewno
zawierucha.
Świeżych idei
cały tom.
Proszę!
Już nastawiam ucha.
Rad wam jestem. —
Na to on:
— Jam poeta,
nie prozaik.
Czuję
Muzy wieszczy dar.
Styl
z perełek
i mozaik...
Że tak powiem —
l'art pour l'art. —
Pełen gracji
w tył odsunął
włos
od czoła
kędzierzawy.
Ja baranek złotoruny
beknął
i popędził żwawo:
— Świeci
miesiąc
nad doliną,
mruczy
ruczaj
pośród szczelin —
ti - ri - ti
na mandolinie,
du - du - du
na wiolonczeli.
Patrzę,
jak mu łeb obrasta
aureolą
idealną,
cierpię, cierpię,
wreszcie —
basta!
Ażem
w stół
kułakiem walnął:
— Dość!—
powiadam —
Nie pozwalam!
Niech pan wieszcza nie odwala!
Gdy na pana spojrzę —
wi pan?—
pan
nie pisarz,
lecz tulipan.
Pan
szybując pośród wyżyn
ptakiem jest —
choć ludzki wzrost —
pan jest,
proszę pana,
czyżyk,
pan kanarek jest
i drozd.
Z panem to —
gdy traf tak zdarzy —
iść
na lufy nam armatnie?
W naszych dniach
jest ten pisarzem,
ten poetą,
kto przydatny.
Bierz pan sobie te przysmaki!
Daj nam wiersz —
jak broń na wroga!
Dziś
potrzebny
pisarz taki,
co napisze
marsz i slogan.

SEWERYN POLLAK

Majakowski w Polsce

Gdy się zamierza pisać o poecie, trudno powstrzymać się od chęci opowiedzenia o pierwszych zetknięciach z jego twórczością, o pierwszych doznanych wrażeniach i o zmianach, jakim te wrażenia ulegały. I dlatego artykuł na najbardziej zdawałoby się „bezosobisty" temat — o tak zwanej przez polonistów recepcji Majakowskiego w Polsce — chciałbym rozpocząć od kilku osobistych zwierzeń, tym bardziej, że moja „recepcja" była dość typowa, przynajmniej dla pewnego odłamu ludzi mojego pokolenia. Mój stosunek do Majakowskiego, zawsze pełen najwyższego podziwu, zmieniał się z biegiem lat wraz z narastaniem świadomości społeczno-politycznej i wraz ze zmianami, jakim ulegały moje poglądy na poezję.

Pamiętam, jak w latach młodzieńczych rozczytywałem się w tuwimowskim przekładzie „Obłoku w spodniach", jak przy każdej odpowiedniej okazji życiowej recytowałem lub przynajmniej powtarzałem sobie w duchu:

Mamo!!
Syn ma pożar serca!
Powiedz siostrom, Ludce i Oli,
że nigdzie już nie ma dlań miejsca!

A jednocześnie w tych samych czasach nie raz, nie dwa i nie dziesięć razy, lecz po wielekroć z zawsze jednakowo żywym przejęciem, z jednakowo żywym entuzjazmem nie tylko ja, lecz wszyscy moi rówieśnicy spośród lewicowej młodzieży mówili, powtarzali, recytowali głośno: „Lewą marsz" w przekładzie Słonimskiego.

„Obłok w spodniach" i „Lewą marsz" były pierwszymi tłumaczeniami poezji Majakowskiego. „Obłok" ukazał się w oddzielnym wydaniu w r. 1923, kiedy Tuwim wydał „Wierszy tom IV"; „Lewą marsz" drukowany był w pierwszej polskiej antologii poezji rosyjskiej p.t. „Nowa poezja rosyjska", wydanej w tym samym roku. W tym również roku ukazała się „Godzina poezji" Słonimskiego. Te zbieżności nie są bez znaczenia. Pierwsze przekłady poezji Majakowskiego odznaczają się całym emocjonalnym ładunkiem, jaki wniosła do polskiej poezji twórczość skamandrytów — są przy tym gładkie, potoczyste; do wybuchowej emocjonalności „Obłoku", przy całym mistrzostwie przekładu, Tuwim domieszał odrobinę swego wczesnego sentymentalizmu.

W cztery lata później, w okresie pobytu Majakowskiego w Warszawie, ukazał się wybór jego poezji pod redakcją Anatola Sterna — w przekładach Broniewskiego, Słobodnika, Słonimskiego, Sterna, Tuwima i innych. Tom ten Majakowski opatrzył przedmową „Do polskeigo czytelnika".

„Tłumaczenie wierszy jest rzeczą w ogóle trudną — pisze w niej Majakowski. — Moich — specjalnie trudną.

Tym się właśnie tłumaczy słaba znajomość czytelnika z Europy z poezją ZSRR.

Jest to tym smutniejsze, że literaturę rewolucji zapoczątkował właśnie wiersz.

Pozbawieni papieru, przynaglani przez czas, bez drukarni, pisarze w szyku bojowym rzucali wiersze swe z estrad, zmuszając maszerujących i atakujących do powtarzania za nimi ich strof.

Żal mi Europy."

Zacytowałem tu słowa Majakowskiego, gdyż wydanie wyboru jego poezji z roku 1927 jest dziś ogromną rzadkością. Książce tej sądzone było na długich trzynaście lat stać się podstawą znajomości Majakowskiego w Polsce. Obok fragmentów poematów, jak „Obłok w spodniach", „Flet kręgosłupa", „150.000.000" — w tomie tym znalazły się tłumaczenia wierszy: i „Lewą marsz", i „Nie wierzymy", i „Niemieckiej pieśni", i „Poety robotnika" i wielu innych.

Poziom przekładów, jak zwykle w wydaniach zbiorowych — nie zawsze równy, na ogół jednak tłumaczenia z tego okresu, jak już powiedziałem, są gładkie, czyste, a przy tym, co najważniejsze, jeśli nawet osłabiają wiersze Majakowskiego pod względem wyrazu ideologicznego, to w każdym razie są wierne, dają właściwy obraz pierwszego okresu jego twórczości.

Po wydaniu tego tomu oddziaływanie poezji Majakowskiego, zwłaszcza na młodzież lewicową w Polsce, coraz bardziej wzrasta. Nie ukazują się co prawda nowe wydania książkowe, z rzadka tylko pojawiają się przekłady poszczególnych utworów w czasopismach literackich, a i to jedynie w lewicowych, lecz siła oddziaływania tych wierszy rośnie wraz ze świadomością społeczną, wraz z ruchem klasowym.

Przypominam sobie, jakie wrażenie wywarł przełożony na język polski wkrótce po śmierci Majakowskiego poemat „Na cały głos". Ten z pasją poetycką zrobiony przez Broniewskiego przekład, pomimo że był drukowany, krążył w odpisach, przechodził z rąk do rąk jak nielegalna proklamacja rewolucyjna.

Były to lata, gdy młodzi poeci lewicy polskiej zaczynają bezpośrednio ulegać wpływom wielkiego głosiciela Październikowej Rewolucji. W „Lewarze" raz po raz ukazują się wiersze pisane „pod Majakowskiego". Podobnie jak dziś, rozpoczyna się dyskusja na łamach „Lewara", a wynik jej, wnioski ostateczne, również podobne są do dzisiejszych. Tak czy inaczej w ówczesnych wierszach Pasternaka, Szymańskiego, Grota, Wita i wielu innych poetów słychać wyraźnie pobrzmienia tych tonów, które potocznie przywykliśmy nazywać „majakowszczyzną", a które były poszukiwaniem rewolucyjnego sposobu wypowiedzi dla rewolucyjnych treści. „Majakowszczyzna" jako ślepe naśladownictwo znikła stopniowo z wierszy poetów lewicy, ale dynamika rewolucyjna pozostała.

Nie było przypadkiem, że nazwisko Majakowskiego tak samo u nas, jak i w Związku Radzieckim, zespoliło się najściślej ze słowem r e w o l u c j a. Był taki okres w dziejach poezji polskiej, gdy stosunkiem do poezji Majakowskiego (nie mówię tu oczywiście o bezpośrednim wpływie na twórczość) można było mierzyć stopień zainteresowań społecznych pisarza. „Ponadczasowym" wzlotom „górą, górą, górą", które kryły za sobą wrogie, burżuazyjne treści społeczne, przeciwstawiali się w swych twórczych poszukiwaniach — czasem niezgrabnych jeszcze, ale świadomych i coraz bardziej krzepnących — ci poeci, którzy wiedzieli, że „trzeba wyrwać radość nadchodzącym dniom", którzy rozumieli, że „tworzyć życie jest o wiele trudniej."

Wspominałem już, że od 1927 roku aż po rok 1940 nowych wydań książkowych utworów Majakowskiego nie mieliśmy. Nie jest to ścisłe — pominąłem tu przekłady Łobodowskiego w zbiorze „U przyjaciół", gdyż Łobodowski, posługując się błędną teorią ekwiwalentów, zwyczajnie sfałszował Majakowskiego dla celów politycznych, nadając jego wypowiedziom często przeciwny zamierzeniom poety sens ideologiczny. Jak nazwać takie zmiany, gdy zamiast słów:

Nasze czasy
dla pióra
trudne są nieraz.
Ale powiedzieć
wy —
pokurcze i pokraki —
gdzie,
kiedy
i który to z wielkim wybierał
co łatwiejsze,
co bardziej wydeptane
szlak!?

(przekład Leona Pasternaka — bardzo wierny!)

Łobodowski pisze:

Nasze lata,
jak kamienie gniotą grzbiet,
dni wytchnienia
nie tak prędko jeszcze wstaną —
lecz powiedzcie:
kiedyż wielki człowiek szedł
drogą lekką,
drogą wydeptaną?

Zmiany takie nazywa się zwyczajnie rozbojem politycznym i poetyckim. Nie wspominałbym w ogóle o Łobodowskim, gdyby nie to, że nie dalej jak wczoraj usłyszałem z ust pewnego pisarza zdanie: „To łobuz polityczny, ale dobry tłumacz". Tak to pewne opinie przetrwały aż do naszych dni. Nie, kolego, kanalia w polityce będzie kanalią wszędzie, a zwłaszcza w poezji!

W roku 1940 ukazał się we Lwowie tom przekładów z Majakowskiego p.t. „Wiersze" pod redakcją Adama Ważyka. Zbiór ten otwiera nową, dzisiejszą epokę w historii tłumaczeń poezji Majakowskiego na język polski. Tłumaczy jest już znacznie więcej: Gińczanka, Jastrun, Kott, Kożuch, Kosko, Lec, Parecki, Pasternak, Przyboś, Putrament Słobodnik Szenwald i Ważyk. Prawie wszyscy — poeci-rewolucjoniści, pisarze, którzy własnymi utworami dowiedli, że idą tą samą drogą twórczą, jakiej poświęcił życie Majakowski. Przekładami poezji Majakowskiego, właściwym podejściem do zadań tłumacza, dowiedli również, że praca tłumacza poezji jest pracą społeczną, że właściwy dobór wierszy i właściwy wybór metod przekładowych, uczciwy stosunek do oryginału — to deklaracja polityczna. Tłumaczenia te czasami są szorstkie, chropawe, niekiedy nawet nie pozbawione błędów, ale wiernie oddają charakter oryginału, ukazują właściwego Majakowskiego: poetę rewolucji, piewcę nadchodzących dni socjalizmu. Na czoło tłumaczy w zbiorze tym wysuwają się Jastrun, Ważyk, Szenwald. Jastrun daje nowy, znakomity przekład „Obłoku w spodniach", Ważyk — świetne tłumaczenia fragmentów poematu „Włodzimierz Iljicz Lenin" i wielu wierszy m. in. „Mostu Brooklińskiego", „Rozmowy z towarzyszem Leninem" i inn. Na tom składa się obszerny wybór wierszy i poematów Majakowskiego, wybór, który daje ogólne wyobrażenie o jego twórczości.

Pierwszą publikacją tuż po zakończeniu wojny jest tłumaczenie poematu „Dobrze" pióra Artura Sandauera. O niewątpliwych zaletach i pewnych niedociągnięciach tej pracy pisałem już w swoim czasie. Na tym miejscu chciałbym jeszcze raz podkreślić fakt świadczący o sile oddziaływania poezji Majakowskiego, o tym, jakie oparcie moralne dać ona może, fakt chyba niebywały w historii przekładu poetyckiego. Niech zresztą mówi o nim sam tłumacz. Cytuję tu kilka zdań z przedmowy Sandauera:

„Front owej zimy 1943 roku płonął w odległości tysiąca kilometrów i nadziei na wydanie tomu poezji w lasach karpackich było niewiele. W samotności, nieraz miesięcznej, w lesie lub w przygodnej stodole, bez oryginału, bez papieru, bez ołówka — którym wreszcie ze względu na mróz i mrok nie sposób byłoby pisać — tłumaczyłem z pamięci— na pamięć, szukając ocalenia we wierszu przed ciemnością, głodem i zimnem. Dopiero po wyjściu z podziemia porównałem świeżo spisane urywki z tekstem..."

Dla Polski Ludowej twórczość wielkiego trybuna rewolucji stała się, tak jak w swoim czasie w Związku Radzieckim w okresie walki o socjalizm, „groźną bronią" oddaną w ręce proletariatu. Od chwili wyzwolenia nie było świetlicy, nie było estrady, z której nie padałyby słowa Majakowskiego. Nie było pisma, gdzie nie byłyby drukowane jego wiersze. Słowo Majakowskiego, jego dynamika rewolucyjna, jego wiara w zwycięstwo socjalizmu są jednym ze współczynników rewolucji kulturalnej w Polsce.

Nic więc dziwnego, że w dziedzinie publikacji książkowych znalazło to również swój wyraz. Po ukazaniu się poematu „Dobrze" w przekładzie Sandauera, najbliższą chronologicznie pozycją, w której Majakowski jest obficie reprezentowany, była wydana w 1947 r. antologia „Dwa wieki poezji rosyjskiej" pod redakcją Jastruna i Pollaka. Na 65 stronach, to znaczy mniej więcej w jednej siódmej tomu poświęconego poezji rosyjskiej od jej początków aż do naszych dni, znajdujemy tu wybór najbardziej reprezentatywnych dla Majakowskiego utworów. Tłumaczenia te — trzeba jednak przyznać — nie są pozbawione pewnych błędów, które w wielu wypadkach zostały usunięte w następnym zbiorze, jaki się ukazał po wojnie, to znaczy w „Wierszach wybranych" opracowanych i opatrzonych wstępem przez Adama Ważyka, a wydanych w roku 1948 w „Bibliotece pisarzy polskich i obcych" przez Spółdz. Wyd. „Książka".

Tu jest miejsce dla podkreślenia poważnej zasługi Ważyka w popularyzacji poezji Majakowskiego w Polsce. Pod redakcją i w opracowaniu Ważyka ukazuje się już trzeci z kolei zbiór poezji Majakowskiego. Kilka tygodni temu wyszedł z druku nakładem „Książki i Wiedzy" w olbrzymiej ilości 100.000 egzemplarzy — tom zbiorowy Majakowskiego p.t. „Wiersze i poematy".

W zbiorze tym Ważyk zebrał cały dotychczasowy dorobek tłumaczeniowy poezji Majakowskiego w Polsce. Mamy więc tu poszczególne fragmenty „Obłoku w spodniach" w tłumaczeniu Sterna i Tuwima, oraz cały „Obłok" w tłumaczeniu Jastruna; mamy duże partie z poematu „Lenin" w tłumaczeniach Pareckiego, Ważyka i Kożucha; prawie cały poemat „Dobrze" w przekładach Broniewskiego, Leca i Sandauera; mamy fragmenty poematu „Kocham" przełożone przez Ważyka itd. Do liczby dawnych tłumaczy, którzy występowali w poprzednich wyborach dzieł Majakowskiego, przybyły nowe nazwiska, m. in. Brzechwy, który przełożył „Rozmowę z inspektorem podatkowym o poezji".

Język poetycki Majakowskiego, zwarty i celny, gdzie poeta operuje słownictwem potocznym, gdzie wielki nacisk kładzie na kalambur słowny, gdzie na rymie spoczywa obciążenie treściowe — stanowi dla tłumacza trudności często nie do przezwyciężenia. Mówi o tym zresztą sam Majakowski w przedmowie do wydania z 1927 roku:

„Tłumaczenie mych wierszy jest w szczególności trudne, także i z tego jeszcze względu, że wprowadzam do wiersza zwykły język potoczny (np. „Swietit' i nikakich gwozdiej" — spróbujcie-no to przetłumaczyć!) — częstokroć wiersz brzmi całkowicie taką właśnie rozmową. Wiersze takie są zrozumiałe i dowcipne tylko przy uwzględnieniu całokształtu języka i są niemal nieprzetłumaczalne — jak gra słów".

W tych warunkach to, co dwukrotnie już nazwałem „chropowatością" niektórych przekładów, nie jest ich wadą, a często może być poczytywane za zaletę. Nawet w tak starannie wydanym zbiorze pomimo niezmiernie pilnej pracy redaktorskiej Ważyka, pracy która daje się dostrzec na każdym kroku przy porównywaniu poprzednich wyborów poezji Majakowskiego z ostatnim — nie obeszło się bez pewnych drobnych usterek, ale nie ma to znaczenia dla całości wydania. Usterki te wynikają najczęściej z niemożności wiernego oddania w języku polskim zbyt trudnego wyrażenia lub kalamburu (i nikakich gwozdiej!). Są to jednak rzeczy najczęściej nie dające się uniknąć i dlatego ich nawet tu nie wymieniam.

Tak czy inaczej, pomimo tych drobnych niedociągnięć „Wiersze i poematy" w opracowaniu Ważyka — to praca fundamentalna, dająca doskonałe wyobrażenie zarówno o epickiej jak i o lirycznej twórczości Majakowskiego. Jest to praca, która z pewnością stanie się podstawą przyszłego pełnego wydania dzieł Majakowskiego po polsku i szkoda tylko, że wydawnictwo przy tak masowym nakładzie nie opatrzyło jej przedmową — a miało przecież na podorędziu doskonały szkic informacyjny Ważyka z wydania „Biblioteki pisarzy polskich i obcych".

Oddziaływanie Majakowskiego na poetów Polski Ludowej, zwłaszcza na tych, którzy rozpoczęli swą pracę poetycką już po wojnie, było bardzo wydatne. Wszyscy pamiętamy dyskusję, która się niedawno odbyła. I pamiętamy wnioski, jakie nasunęły się przy ostatecznym podsumowaniu tej dyskusji — że najważniejsza jest nie strona formalna, nie taka czy inna strofa, lecz rewolucyjna t r e ś ć utworu poetyckiego, jego siła przekonywania.

Słowo
przewodzi
sile człowieczej —

powiada Majakowski. Mówiąc o politycznej poezji swoich czasów, o tradycji poetyckiej i o Puszkinie, Majakowski dodaje:

„Kocham Puszkina! Na pewno więcej kocham niż wy wszyscy. Ja jeden może żałuję doprawdy, że nie żyje dzisiaj! Gdy zdziera mi się głos, gdy jestem zmordowany aż do wyczerpania, biorę na noc „Połtawę" lub „Jeźdźca Miedzianego" — a rankiem wstaję cały obmyty, ze świeżym gardłem... I chce mi się pisać zupełnie po nowemu. Rozumiecie? Po nowemu! A nie przepisywać, nie powtarzać słów obcego wujka! Odnawiać wiersz, słowa wywracać z korzeniami, podnosić wiersze do poziomu naszych dni. A czasy mamy poważniejsze, większe niż puszkinowskie. O to właśnie walczę!"

O to walczyć powinniśmy wszyscy w kraju, który buduje socjalizm.

Seweryn Pollak

Majakowski wśród żołnierzy Czerwonej Armii

Majakowski na wiecu w koszarach

ARTUR SANDAUER

Droga Majakowskiego

Wielbicieli Majakowskiego — zarówno współczesnych mu, jak i dzisiejszych — podzielić można na dwie kategorie: na tych, którzy — widząc, iż znakomity autor „Obłoku w spodniach“ zabrał się do komponowania afiszy dla Rosyjskiej Agencji Telegraficznej (ROSTA) — potrząsali z ubolewaniem głowami a po ukazaniu się poematu „Dobrze“ utwierdzili się ostatecznie w przekonaniu o jego upadku; i na tych, którzy — przeczytawszy w roku 1924 publicystyczny jego wiersz zatytułowany „Naszej młodzieży“ i atakujący szowinizmy narodowe — pisali mu: „Nie spodziewaliśmy się tego po Majakowskim, jakiego znaliśmy. Gigantyczny krok naprzód...“; słowem, na miłośników wczesnej i na entuzjastów późniejszej jego twórczości; na tych, którzy widzą w niej rozkład wielkiego talentu, i na innych, dla których jest ona historią ciągłego rozwoju.

Jedyne, co w sporze tym możemy stwierdzić z absolutną pewnością, to to, że Majakowski — futurysta i „trzynasty apostoł“, bluźniący — jak Mickiewicz — Bogu i wstrząsający — jak Samson — posadami wszechświata, Majakowski, pełen reminiscencji biblijnych w obrazowaniu i cerkiewnosłowianizmów w stylu, trafia do innego rodzaju publiczności, niż ten, który w wierszach zachwala socjalistyczny handel.

Między Majakowskim, poetą buntu antymieszczańskiego, a Majakowskim, piewcą budowy socjalizmu, między tym, który wzywał wszystkich desperatów świata do żywiołowego powstania:

Przechodnie, ręce z kieszeni wyjąć.
Bierzcie kamienie, nóż, bombę, drąg.
A jeśli który nie ma już rąk,
to niechby bił się, choćby łbem bijąc.
(Przekład M. Jastruna)

a tym, który z niezrównanym, realistycznym humorem opisze instalację elektryczności w chacie chłopskiej lub wprowadzenie się robotnika do nowego mieszkania, między ogarniętym gorączką przyszłości futurystą a poetą pięciolatki, w każdej racjonalizacji dostrzegającym narodziny dnia jutrzejszego — między nimi obydwoma granicę czasową stanowi nie kalendarzowo data października 1917; jeszcze w roku 1918 Majakowski pisze dramat „Misterium buffo“, biblijnym pomysłem (potop to wojna, arka Noego to rewolucja) nawiązujący do poprzedniego okresu; granicę między nimi stanowi objęta przezeń w październiku 1919 roku praca w ROSTA.

Należy uświadomić sobie całą symptomatyczną wagę tego faktu: oto cygan literacki, epatujący dotychczas fantazyjną żółtą bluzą, obejmuje stałą posadę w biurze, w biurze, co prawda, reklam poetyckich; nie wystarczy mu, iż wyznaje ideologię rewolucji; pragnie jeszcze zmienić swą sytuację życiową, a więc i klasową przynależność, związać się z ustrojem powszednim interesem, codziennym zajęciem. Toteż trwająca od października 1919 do lutego 1922 i przypadająca na okres wojny domowej i interwencji praca w ROSTA przynosi przełom w jego postawie, tematyce, obrazowaniu, stylu: bez 1200 agitek, ballad politycznych, reklam, jakie wówczas napisał, nie byłby do pomyślenia późniejszy „Włodzimierz Iljicz Lenin“ czy „Dobrze“. Potrzeba dotarcia do mas narzuciła mu w tych utworach nową wersyfikację, nowe obrazowanie, nowy język. Zanika owo gromkie „ja“ egotysty, które stanowiło tytuły jego młodzieńczych wierszy: „Ja“ lub „Włodzimierz Majakowski“. Niemniej w ówczesnej jego twórczości zaznaczają się wyraźnie dwa oddzielne nurty: pierwszy, ustępujący, dochodzi do głosu w lirycznych, mało znanych i mało komunikatywnych, ale niezwykle mistrzowskich formalnie poematach jak „Kocham“ czy „O tym“; drugi, wstępujący — w ówczesnej pracy publicystyczno - agitacyjnej. Zespolenie obydwu dokona się dopiero na szczytach twórczości Majakowskiego, w „Leninie“, w „Pełnym głosem“, zwłaszcza zaś w „Dobrze“, któremu za motto służą przecież słowa:

Ten dramat
w ojczyźnie się naszej rozegrał
czy w sercu
rozegrał się
w moim?

Element tendencyjny, agitacyjny, polityczny nie usunie tu już bynajmniej w cień — jak to się dawniej działo — liryki; zespolenie między poetą a ojczyzną radziecką będzie tak ścisłe, iż granica ich obopólnych przeżyć się zatrze. Wyznania osobiste — nawet najdrobniejsze — nie rażą już tu na tle gigantycznych zjawisk społecznych: jedne i drugie są zrobione z tego samego materiału; różnicę między marchewką przyniesioną głodującej przyjaciółce a katastrofą na Powołżu stanowią tylko rozmiary, lecz nie treść tych wydarzeń. Liryka nie zostaje tu pochłonięta przez politykę, lecz się z nią całkowicie utożsamia.

W owych to latach — w ogniu walki o rewolucję i rewolucyjną sztukę — krystalizuje się ostatecznie mistrzostwo artystyczne Majakowskiego, kodyfikuje się ten kształt jego poezji, w jakim ją widzieć będzie potomność, poezji wydedukowanej w całości z idei służenia klasie pracującej. Wówczas to kształtuje się ostatecznie toniczny wiersz Majakowskiego, cparty nie — jak to miało jeszcze częściowo miejsce w jego własnych przedrewolucyjnych utworach — na ilości zgłosek, lecz na ilości akcentów i przeznaczony jak gdyby do wygłaszania pod gołym niebem lub w olbrzymich salach; wówczas powstaje ów felietonistyczny, naśladujący codzienną rozmowę styl wiersza, gdzie dowcip coraz bardziej wypiera metaforę. Jeśli wreszcie w roku 1919 Majakowski w swej praktyce poetyckiej stosował jeszcze teorię językową Chlebnikowa o t.zw. odmianie korzeni słownych, czego wynikiem będzie między innymi „Nasz marsz“ („Nasz bóg bieg“ itd.), to pod koniec owego okresu wszystkie te chwyty, kalambury, gry słowne, alliteracje, anagramy zatracą dlań swój absolutny, teoretyczny charakter i zejdą do roli zwykłych środków poetyckich czy spojeń wierszowych. Ostatnie wreszcie jego poematy siłę swą będą czerpać jedynie z podniosłości treści; forma ich będzie tak doskonała, że aż niedostrzegalna: nie zatrzymując się na niej, jak na idealnej przejrzystości szybie, ujrzymy poprzez nią od razu sam przedmiot. Synteza nowatorstwa poetyckiego i komunikatywności, jaką osiągnie Majakowski pod koniec, będzie jednak możliwa tylko dzięki wieloletniemu przygotowaniu w szkole sztuki agitacyjnej.

W ROSTA Majakowski zyskał umiejętność poetyckiego reagowania na każde — nawet najbardziej prozaiczne — zamówienie społeczne; nauczył się w każdym szczególe pracy dziennikarskiej dostrzegać całość socjalizmu, las poza drzewami; słowem, stworzył jedyny w dziejach literatury rodzaj wielkiego pisarza, który — rozmieniając się systematycznie na drobne — nie traci przez to nic ze swej wielkości. W pracy nad wierszem zastosował tu po raz pierwszy dialektyczną zasadę ujmowania każdego szczegółu w łączności z całokształtem problemu. Zamówienie społeczne nie było dlań jedynie abstrakcyjnym zadaniem „napisania na jakiś temat“; sposób wykonania, formę wiersza uzależniał od każdorazowej sytuacji: od adresata, dla jakiego go przeznaczał, od celu, jaki chciał przezeń osiągnąć. Dawna wirtuozeria staje się tutaj już tylko umiejętnością dostosowywania formy do każdorazowych zadań. Pisząc np. piosenkę dla idących na front czerwonoarmistów, zastosuje zasadę kompozycyjną ludowej „czastuszki“, gdzie po dwu puszczonych luzem i mówiących byle o czym linijkach następują dwie dalsze, związane z poprzednimi tylko rymem i wyrażające dopiero właściwy sens utworu.

Podobnie wreszcie jak formę każdego ze swych wierszy uzależniał od konkretnej sytuacji, tak całą swą poetykę związał wówczas jak najściślej z materiałem, w którym pracował: z językiem rosyjskim. Zasadę formy narodowej realizował nie tylko przez to, że wyrażał socjalistyczne treści we własnym języku, ale przez to przede wszystkim, że uwzględnił jego specyficzne w tym kierunku możliwości. Tak np. wykorzystał toniczność rosyjskiego akcentu, by stworzyć poezję estradową; jego nieregularność — dla nowego, bardziej słuchowego niż wzrokowego i znacznie głębiej w wierszu osadzonego rymu; posłużył się wreszcie zapasem folkloru, by odświeżyć zatęchłe poetyckie obrazowanie. Tym samym dał nie tylko jednorazowy wzorzec poezji socjalistycznej, ale — opartą na analizie sytuacji i materiału językowego — metodę jej tworzenia, metodę, która innych, postawionych wobec odmiennych zadań i operujących w odmiennym materiale poetów powinna nauczyć, jak można — nie kopiując Majakowskiego — stać się jego uczniem.

Artur Sandauer

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI — Przełożył Adam Ważyk

ROZMOWA Z TOWARZYSZEM LENINEM

Kłębem zdarzeń,
zgiełkiem powszednim
odpłynął dzień
w miarowe zmierzchanie.
Dwóch nas w pokoju:
ja
i Lenin —
na fotografii
na białej ścianie.
Usta otwarte
w mocnych słów toku,
warga
szczecinkę
wąsów napręża,
w potężnej czaszce
ściśnięta
głęboko
w zmarszczkach na czole
ludzka myśl
potężna.
Tam pewnie
pod nim
przechodzą tysiące...
Tam las chorągwi...
rąk trawa...
i wstałem z krzesła
w radości jak w gorączce,
chciałbym
tam iść —
bieżące sprawy zdawać!
„Towarzyszu Leninie,
ja z własnej ochoty,
nie jak na służbie,
składam raport z nowin.
Towarzyszu Leninie,
ten kawał roboty
będzie
zrobiony
i już ją się robi.
Goimy,
odziewamy gołe piszczele,
mocniej
ciągniemy
rudę i węgiel.
A obok tego
jest bardzo wiele
paskudztwa,
bredni —
jest na potęgę.
Ciężko
odgryzać się, opędzać co dzień.
Bez ciebie
nie wszyscy
kroku dotrzymali.
Wzdłuż naszej ziemi,
a i wokół,
chodzi
bardzo
dużo
wszelkiej kanalii.
Cała się
typów
galeria
gromadzi.
Ani ich nazwę,
ani obliczę.
Kułacy i biurokraci,
lizuchy,
sekciarze
i pijanice —
pierś wypuczywszy
spacerują dumnie,
znaczek przy piersi
raz po raz skubną.
My
ukrócimy ich,
to się rozumie,
ale wszystkich ukrócić
okropnie trudno.
Towarzyszu Leninie,
gdzie fabryki dymią
i na pokrytej śniegiem
i zbożem
ziemi —
przez twoje,
towarzyszu,
serce
i imię
myślimy,
oddychamy,
walczymy,
żyjemy!“
Kłębem zdarzeń,
zgiełkiem powszednim
odpłynął dzień
w miarowe zmierzchanie.
Dwóch nas w pokoju:
ja
i Lenin —
na fotografii
na białej ścianie.

JA SAM

Autobiografia Majakowskiego

(fragmenty)

26 luty 17 r.

Poszedłem z automobilami pod Dumę. Wlazłem do gabinetu Rodzianki. Obejrzałem Milukowa. Milczy. Ale mnie, niewiadomo dlaczego, wydaje się, że on się jąka. Po godzinie naprzykrzyło się. Odszedłem. Objąłem na kilka dni komendę szkoły automobilowej. Guczkowieje. Stare oficerstwo po staremu chodzi sobie po Dumie. Dla mnie jasne — po tym wszystkim nieuniknienie, natychmiast socjaliści. Bolszewicy. Piszę zaraz w pierwszych dniach rewolucji „Poezjokronikę — Rewolucja“. Mam odczyty — „Bolszewicy sztuki“.

Sierpień.

Rosja po trochu odkiereńszcza się. Stracili szacunek. Występuję z „Nowej Żizni“. Obmyślam „Misterium - Buffo“.

Październik.

Brać czy nie brać udziału? Takie pytanie dla mnie (i dla innych futurystów z Moskwy) nie istniało. Moja rewolucja. Poszedłem do Smolnego. Pracowałem. Wszystko co popadło. Zaczynają się odbywać posiedzenia.

Styczeń.

Przyjechałem do Moskwy. Występuję. W nocy „Kawiarnia poetów“ na Nastasjinskiej. Rewolucyjna babka obecnych kawiarniano - poetyckich saloników. Piszę scenariusze kinowe. Sam w nich grywam. Rysuję do nich plakaty. Czerwiec. Znów Petersburg.

*

25 października 18 r.

Ukończyłem misterium. Czytałem. Wiele mówią. Wystawił Mejerhold z K. Malewiczem. Ryczano naokoło strasznie. Szczególnie komunizująca inteligencja. Andrejewa licho wie czego nie robiła, żeby przeszkadzać. 3 razy sztuka była grana — potem mi ją położono. I poszły makbety.

19 r.

Jeżdżę z misterium i innymi rzeczami moimi i towarzyszy po fabrykach. Radosne przyjęcie. W wyborskim rejonie organizuje się komfut, wydajemy „Sztukę Komuny“. Akademie trzeszczą. Na wiosnę przenoszę się do Moskwy.

Głowę zajęło „150.000.000“. Wstąpiłem do oddziału agitacyjnego Rosty.

20 r.

Ukończyłem „Sto pięćdziesiąt milionów“. Drukuję bez nazwiska. Chcę, żeby każdy dopisywał i poprawiał. Nie robiono tego, ale nazwisko wszyscy znali. Wszystko jedno. Drukuję tutaj pod nazwiskiem.

Dni i noce Rosta. Atakują rozmaite Denikiny. Piszę i rysuję. Zrobiłem trzy tysiące plakatów i sześć tysięcy napisów.

*

22 r.

Organizuję wydawnictwo MAF. Zbieram futurystów komuny. Przyjechali z dalekiego wschodu Asiejew, Tretiakow i inni towarzysze burd. Zacząłem pisać opracowywaną trzeci rok 5 międzynarodówkę. Utopia. Pokażę sztukę za 500 lat.

W projekcie: O miłości. Wielki poemat. Na przyszły rok skończę.

Opracowuję 2 utwory dramatyczne: bo mało ich i podłe.

Zakończenie.

Wyżej powiedziane bynajmniej nie wyczerpuje mnie. Oprócz wszystkiego, o czym mówiłem, lubię np. astronomię. „Różową latarnię“ zamknięto po przeczytaniu mojego „Godzinę drogi stąd...“ Włóczęgowską także bodaj czy nie... za — „Wam...“ Ale o tym trzebaby już powieści pisać. A ja jestem poetą.

A to — tzw. autobiografia. To wszystko.

Przełożył
Władysław Broniewski

SIEMION KIRSANOW

WIELKI POETA EPOKI RADZIECKIEJ

Moskwa, w kwietniu

Wyjmijmy z biblioteki jakikolwiek tom dwunastotomowego zbioru dzieł wielkiego radzieckiego poety Włodzimierza Majakowskiego. Niech to będzie książka, w której zebrane są jego wiersze napisane w pierwszym roku pierwszej stalinowskiej pięciolatki. Otwórzmy książkę na dowolnej stronicy i od razu ujrzymy wstępujące po schodkach wierszy młodzieńcze lata naszego kraju Rad, wydarzenia, zjawiska, fakty, ludzi początku ery socjalistycznej. Nie przeszłość przysypana pożółkłymi kartkami kalendarza, ale żywa rzeczywistość tych lat przemówi i ożyje wraz z nimi.

Ujrzymy w wierszach poety Plac Czerwony w Moskwie, gdzie wznosi się mauzoleum Lenina, pojedziemy z Majakowskim do „nowonarodzonego miasta“ Świerdłowska powstałego z „woli, Uralu, pracy i energii“. Przesuną się przed oczami pierwsze pola kołchozów, ogrody, winnice; staną opisywane przez Majakowskiego pałace Krymu, gdzie odpoczywają chłopi i robotnicy. Usłyszymy głosy bohaterów - budowniczych nowego miasta Kuźniecka w tajdze sybirskiej: „tu będzie miasto-ogród!“ Rozlegnie się zawołanie poety: „Naprzód czasie...“

Następne karty przenoszą nas za granicę, do Nicei, do Monte Carlo, gdzie do ruletty, do stosów pieniędzy pełzną „plugawe monte - karzełki“, do Paryża, gdzie „agenci“ masakrują strajkujących robotników... A oto korytarz wagonu w zagranicznym pociągu, gdzie służalczy urzędnicy „zginając się w pokłonach biorą, jak bierze się napiwek, paszport Amerykanina...“ Oto powrót, znów ukochane rosyjskie krajobrazy i znów — radzieckie budownictwo, pracowite dni powszednie, wielomilionowe demonstracje, gigantyczne plany, ogromne osiągnięcia...

Ale — czy jest to tylko obraz historycznej kroniki, wiarygodnie utrwalony przez poetę? Obiektywny epos wydarzeń? Nie. To jest bezpośredni udział w życiu. To sama poezja wstąpiła na rusztowania, towarzyszy ludziom pracy do fabryk. Wszystkie te wydarzenia, miejsca, miasta, obserwarcje, są głęboko przemyślane, ożywione ingerencją poety, jego namiętną, zaczepną oceną każdego zjawiska, każdego życiowego szczegółu. Wszystko tu przeniknięte jest stronniczą pasją budowniczego nowego życia, który wszystko mierzy szczególną, nowatorską miarą. Majakowski nie opisuje i nie opowiada zwyczajnie — zajmuje stanowisko, ocenia, czuje zarówno za siebie jak za cały naród radziecki. I na tym polega — przede wszystkim — wielkość jego poezji.

Wiersze Majakowskiego — to duma z kraju Rad, z Moskwy, gdzie w walkach rewolucyjnych „rozstrzygano o losie Kijowów i Tyflisów“. To „ogromna radość“ z wszystkiego, co nowe, co poczęte w pracy i twórczości prostych pracowników wielkiego kraju socjalizmu. To nieprzejednana postawa wobec wszelkiego rodzaju „draństw i bredni“, które przeszkadzają nam budować, które plączą się pod nogami. To ironiczne spojrzenie na poetyczne „kędzierzawe baranki“, idyllicznie beczące wtedy, gdy potrzebny jest marsz, hasło, wezwanie. To duma z płomiennej, rwącej się naprzód młodzieży radzieckiej. To słowa pogardy dla zdrajcy Laporte'a we Francji, który zdezerterował na stronę wrogów ludu. „Policyjne cielę“ — oto zabójcze przezwisko nadane renegatowi przez Majakowskiego. To przenikliwe rozumienie zdradzieckiej roli, jaką odgrywają żółci działacze związków zawodowych w rodzaju Gompersa, którzy wypełniają drobne i wielkie zlecenia drobnych i wielkich burżujów. To uczucie braterskiej solidarności ze strajkującymi wówczas w Anglii robotnikami, z proletariuszami francuskich fabryk Renault i Creuzot. To braterska dłoń wyciągnięta do polskich robotników: „nie ma powodu, abyśmy bili się z wami, myśmy bracia dla polskiego brata“. To nienawiść do wojny imperialistycznej: „precz z polityką beczek z prochem!“ — a zarazem ostrzeżenie: „jeżeli ruszycie, złamiemy miecze jeszcze dokładniej niż Bonapartemu“...

Oto poszczególne cechy stosunku Majakowskiego do życia. I jeżeli połączymy razem jego miłość i nienawiść, jego życzliwość i gniew, jego uśmiech i ironię, jego uściski dłoni i ciosy — odsłoni się przed nami wielki i pełny charakter ludzki. Jest to charakter radzieckiego obywatela.

Wielkość Majakowskiego tkwi właśnie w tym, że jego poezja z niezwykłym rozmachem ujawniła istotę prostych ludzi radzieckich — budowniczych nowego życia. Ujawniła głęboko i na długie lata naprzód. Poeta nie dążył do tego, by wznieść się ponad „tłum“, jak czynią to przeróżne „indywidualności“. Nie — w roztopieniu swej pracy, w pracy milionów widział poeta swe szczęście:

Cieszę się —
to mój trud
włącza się w trud
mojej republiki.
(„Dobrze“)

I poeta — wyraziciel uczuć milionów ludzi pracy — stał się poetą narodowym.

Dwadzieścia trzy lata temu Majakowski opiewał „ojczyznę, która jest“. Ale już wtedy opiewał także ojczyznę „która będzie“, tzn. czasy dzisiejsze, socjalistyczne społeczeństwo, które naród radziecki stworzył i które obronił w Wielkiej Wojnie Narodowej. Poeta trzykrotnie wysławiał dzień, który ma nadejść, nasz dzień dzisiejszy. Majakowski widział życie w jego rewolucyjnym rozwoju, w perspektywach, w ruchu. We współczesnych sobie planach i sprawach wyczuwał rodzące się plany i sprawy przyszłych dni. „Trzeba w przyszłość, naprzód!“ — oto jego poetycki testament.

A przecież było to zarazem odzwierciadlenie charakteru jego współczesnych, pysznych ludzi radzieckich. Hasłem ruchu w przyszłość kierowały się i kierują miliony kołchoźników, robotników, inżynierów, agronomów, pracowników wszystkich zawodów. Dziś sadzą oni lasy, lecz lasy te rozrosną się nie dziś, tylko jutro.

Ale „przyszłość“ i „jutro“ — to także już nie coś wymarzonego, dalekiego. W społeczeństwie socjalistycznym odległość między teraźniejszością i przyszłością została niezwykle skrócona. Majakowski wyczuł to przenikliwie już w latach dwudziestych. Właśnie takim — w stałym rozwoju, w nieugiętym dążeniu naprzód — wyraża się w jego twórczości życie narodu radzieckiego. Oto gdzie tkwi tajemnica nieprzemijającej aktualności wierszy Majakowskiego.

Weźmy temat wojny i pokoju. Jeszcze przed rewolucją Majakowski napiętnował

STANISŁAW WYGODZKI

Ilustrował M. Piotrowski

WIDZENIE

Zdjął okulary, wytarł je skrupulatnie, po czym złożył je na stole. Pomyślałem: jakie on ma czarne oczy!

— Z Rawicza zwolnili mnie w 1933 roku — pomyślał chwilę — chyba w końcu sierpnia i pojechałem do domu. Byłem mocno wyczerpany i wygłodzony. To był ten okres, kiedy Sempołowska przesyłała nam po 5 złotych miesięcznie na chleb, ale w celach sąsiednich siedzieli towarzysze, którym MOPR nie zdołał jeszcze zorganizować pomocy, dzieliliśmy się więc tym chlebem, oczywiście, jeżeli się to udawało, bo pilnowali nas mocno, aby się nie kontaktować. Bardzo często kalifaktor, kryminalny więzień, nie oddawał towarzyszom tego chleba, obracając go na zakup tytoniu dla siebie.

Po pięciu więc latach wróciłem do Lublina, do matki. Nie pamiętam już dziś jakie było to przywitanie po pięciu latach nie widzenia się, bowiem radość powrotu zepsuły mi ostre gastryczne zaburzenia. Matka wraz z siostrą, którą znasz, mieszkały wówczas jeszcze razem i od razu, pierwszego dnia zaczęły mnie tak odżywiać, jakby zapragnęły niezwłocznie uzupełnić wszystkie braki wywołane więziennym odżywianiem. Niewiele tego trzeba było, aby się od razu rozchorować. Już pierwszej nocy chwyciły mnie silne bóle żołądkowe, kobiety spały gdy dostałem wymiotów, mimo że jedzenie było bardzo niewyszukane: piłem jakieś mleko, a przed snem zjadłem trochę szynki, ot tyle.

Obudzone moim pojękiwaniem chciały wezwać lekarza, ale nie pozwoliłem aby wychodziły z domu. Uspakajałem je jak mogłem: między jednym atakiem torsji a drugim tłumaczyłem przerażonym kobietom, że to normalne zjawisko, które zazwyczaj towarzyszy zmianie wiktu. Wiedziałem o tym od towarzyszy, którzy już mieli za sobą te doświadczenia.

Istotnie, następnego dnia poczułem się lepiej, zameldowałem się na posterunku policji, gdzie obejrzano moją kartę zwolnienia z więzienia, ale czułem się tak osłabiony, że musiałem natychmiast wrócić do domu i ponownie położyć się do łóżka.

Leżałem kilka dni. Za pośrednictwem siostry towarzysze moi dali mi znać, że chcieliby mnie odwiedzić, ale tą samą drogą uprzedziłem ich, aby tego nie czynili, ponieważ dom był zapewne pod obserwacją. Przekonywałem, że nie powinni tego robić również i z tego względu, że jako komunista powszechnie znany na terenie miasta i okolic, nie zamierzam pozostać na okręgu tylko przenieść się gdzie indziej.

Ale to nie znaczy, że nie miałem odwiedzin. Owszem, od chwili zgłoszenia się na komisariat wpadali do naszego mieszkania różni szpicle, znani mi od dawna z naszego terenu, oraz nieznani, nowoprzybyli i ci sprawiali mi najwięcej kłopotu. Siedząc przed domem w łagodnym słońcu, byłem narażony na to, że podchodzili blisko i przyglądali mi się jak owcy wystawionej na sprzedaż. Widocznie mieli polecenie poznania mnie i zapamiętania moich rysów, mogło to bowiem kiedyś im się przydać w ich pracy zawodowej. Szpicle, starzy wyjadacze, którzy mnie pojmali pięć lat temu, zanim mnie skazano i wysłano do Wronek, a potem do Rawicza, przyglądali mi się jak dawnemu, dobremu znajomemu, ci zaś spośród tych, którzy mnie nie znali, widzieli we mnie z nieukrywaną młodzieńczą pochopnością przedmiot szczególnie interesujący. Patrzyli na mnie tak, jakby zapragnęli tym wzrokowym porozumieniem ustalić reguły gry, jaka miałaby nas w przyszłości obowiązywać i ich spojrzenie zdawało się mówić: a no, zobaczymy kto będzie sprytniejszy, ten niemocą złożony komunista, czy my, młodzi, rozpoczynający dopiero karierę szpiclowską. Dla nich, poza klasową funkcją szpiclostwa, a może nawet na czoło tej funkcji wysuwał się jeszcze moment emocji, podobnej do tej, jaką odczuwają sportowcy, bowiem pojmanie komunisty było dla nich wyczynem sportowym. Również i takie sporty bywały kiedyś.

Przez pięc czy sześć dni obejrzało mnie kilkunastu szpicli. Ci których znałem, nie byli dla mnie groźni, rozpoznanego szpicla mogłem ominąć, uniknąć, ale okropność tej całej biedy pojąłem dopiero wówczas, gdy wśród tajniaków poczęły przeważać twarze nieznane. To idiotyczne rozwolnienie, które mnie zmuszało do pozostawania w domu sprawiło, że kupa szpicli zapamiętała mój wygląd — pogładził gęsty, czarny wąs, strzyżony u końców — i rozumiesz tę sytuację: oni wszyscy mieli bardzo łatwe zadanie, mieli zapamiętać jedną twarz, moją, ja zaś, aby uniknąć w przyszłości nieprzyjemności, musiałbym zapamiętać co najmniej z tuzin tych mord, a to było wszak niemożliwe.

To wszystko sprawiło, że pożegnałem się z matką szybciej aniżeli zamierzałem i znów poczułem krzywdę, bo pomyśl, czmychałem niemal z domu po pięciu latach niewidzenia się z matką. Żegnała się ze mną czule, już w drzwiach szepnęła coś co brzmiało, jak: „strzeż się synu", ale nie było w tym nic z ostrzeżenia przed dalszą robotą partyjną, która po krótszym czy dłuższym okresie znów wiodła za mury i kraty na długie lata. Było to raczej życzenie, abym jak najdłużej korzystał z wolności, no cóż, życzenie zrozumiałe, skoro je składa starzejąca się matka.

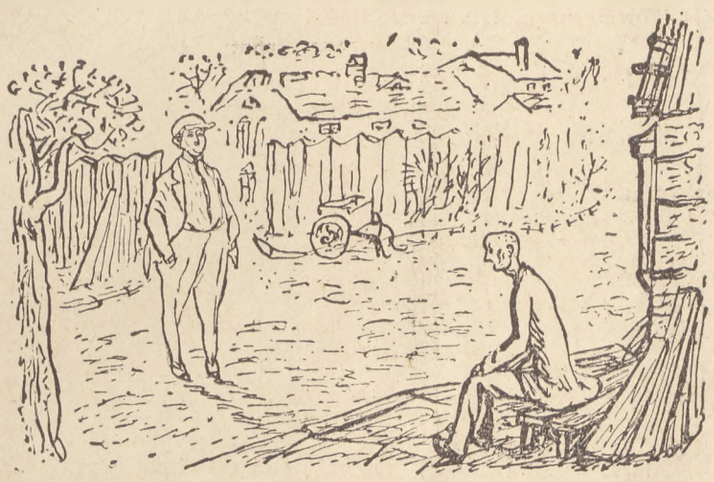

Widzisz, z matkami jest tak. Nie chcesz, aby ci okazywały czułość, a i tobie się wydaje, że skoro jesteś czuły wobec matki, to ujawnia się w tobie coś co się podciągało pod pojęcie drobnomieszczańskiej rozlazłości, a tymczasem sprawa ta nie jest wcale prosta. Chodzi o to, jakie treści się mieszczą w tej czułości, bo nie są one ani wieczne, ani niezmienne. No, na przykład ty, kochasz swoją matkę, ale czy mógłbyś powiedzieć dlaczego ją kochasz? Czy dlatego, że cię urodziła 35 lat temu, niańczyła, karmiła, gotowała obiad? Bo moja matka, poza aktem urodzenia mnie, niewiele miała z tym wspólnego. Cały dzień była poza domem, stała przy warsztacie, a kiedym podrósł to nawet nie spostrzegłem, że matka była w pobliżu. Dziś, kiedy się już starzeję kocham ją coraz mocniej i ja myślę, że jest w tym jakaś nowa treść, której ci nie potrafię jeszcze określić, ale niepokoję się o to czy dobrze sypia, czy jej coś nie dolega, czy gotowanie obiadu nie sprawia jej kłopotu. Skąd ten niepokój? Zrozum jak się te sprawy odwróciły. Dziś tylko drobnomieszczuch mógłby pokpiwać ze mnie, ale mnie się wydaje, że ta troska o matkę, która mi nie przeszkadzała w walce rewolucyjnej ma swoje bardzo klasowe uzasadnienie. Zapewne, był czas kiedy nie rozumiała wszystkiego, a gdy dziś uda mi się czasem zaobserwować jak robotnice prowadzą swoje maleństwa do żłobka, czy do przedszkola to myślę, że świadomy komunista powinien odczuwać dumę, bo w czułości tych matek widzę nowe, nieznane do tej pory klasie robotniczej treści. Ile z tej miłości przypada naszemu młodemu państwu nie wiem, ale ja wiem i to jest pewne, że czułość dzisiejszej robotniczej matki, to czułość dla dzieci, które w przyszłości będą w tym państwie wszystkim.

Powiem ci coś więcej. W rodzinach robotniczych, bójki między dziećmi a rodzicami były kiedyś dość powszechne i czyś się kiedyś zastanowił nad klasowym źródłem tego zła? No co, bił kapitalista, bił policjant, bił obszarnik, bicie było usankcjonowane prawem i ja bym powiedział, że abstrakcja tego prawa przybierała realny, materialny kształt nie tylko w nędzy materialnej, ale i w nędzy moralnej, a raczej w nędzy tej moralności.

No, ale wróćmy do tamtych czasów. Wyjechałem więc z domu w nocy, ale nie z samego Lublina tylko z sąsiedniego miasta. Myślałem sobie, ostrożność nie zawadzi i zajechałem do Warszawy. Skontaktowałem się szybko z towarzyszami, gadałem z ludźmi z Sekretariatu KPP i Komitetu Centralnego, w pośpiechu zgadałem się z Aleksandrem, Romanem i Marylą, którzy postanowili wprawdzie, że wyjadę na okręg, ale pierw muszę wypocząć. Przynajmniej ze dwa tygodnie. Oponowałem, w końcu uległem, wyrobienie lewych papierów tak czy owak musiało trwać kilkanaście dni i wyjechałem do Zakopanego. Mieszkałem na Gubałówce w naszej „Gospodzie Włóczęgów", dałem sobie opukać płuca przez doktora Sokołowskiego — pamiętasz go? — i zabrałem się do czytania. Nie pamiętam obecnie kto wtedy gospodarował naszą chałupą, gospodyni podawała zimne mleko, a ja sobie odpoczywałem na leżaku, bawiąc się tym ociężałym i sennym psem, który lgnął do wszystkich, tylko szczekał wówczas gdy się zbliżała policja, która często odwiedzała ten dom, kontrolując książkę meldunkową. Wtedy to przeczytałem pamiętnik Mietka Szczuki, kupę książek wydanych przez „Książkę" i „Tom", których nie znałem, komplet „Nowego Przeglądu", „Inprekory", słowem wszystko co popadło pod rękę. W domu mieszkało wówczas kilka osób, nie znałem jednak nikogo, przeważała młodzież, ale zgodnie ze zwyczajami "Gospody" nikt o nikogo nie pytał, nikt nikim się nie interesował, zresztą i po co? Przecież wiadomo było, że w „Gospodzie" mogli mieszkać tylko partyjni ludzie. Po dwóch tygodniach wróciłem do Warszawy i wyznaczono mi okręg radomski. Właśnie wpadł Bronek, który prowadził tam robotę i trzeba było znów postawić na nogi rozbitą organizację. Dostałem lewy paszport: nazywałem się wówczas Ściborowski, towarzysze dali mi kilka adresów i rozstaliśmy się.

Teren był ciężki. Najlepszych ludzi zabrali nam kilka tygodni temu, trzeba było nawiązać od nowa kontakty, pogadać z ludźmi, postawić komórki, zorganizować kolportaż, pchnąć MOPR, propagit, młodzież.

Pamiętasz zapewne jaka była wówczas sytuacja wewnętrzna i zewnętrzna. Kryzys gniótł jak cholera, okręg był na wpół miejski, na wpół wiejski, uświadomienie na ogół niskie. Robotnicy na fabrykach to było zaledwie drugie, a często i pierwsze pokolenie, które wyszło ze wsi. Na niedzielę robotnicy gnali z fabryk na swoją wieś, aby pogospodarować trochę na własnej ziemi i cały ucisk kapitalistyczny, trwający przez tydzień, wydawało im się, że znika w niedzielę, właśnie wówczas gdy się poczuli „panami" na swoich kilku hektarach. Na niedzielę stawali się „właścicielami", ale na poniedziałek wracali do warsztatów rozgoryczeni, znów stawali się proletariuszami, ale takimi, którzy ciągle się obracali w kategoriach „własnościowych". Nie myśleli o klasie, myśleli o sobie, o tym jakby się szybko „dorobić", dokupić trochę ziemi, może nawet o założeniu jakiegoś warsztatu na swojej wsi. Nie rozumieli, że to niemożliwe. Świadomsi myśleli o reformie rolnej, nawet o takiej z odszkodowaniem, tumanieni przez przywódców ze stronnictw ludowych, ale w chwili gdy tracili pracę, nawet te mrzonki, wyrosłe na gruncie reformizmu i oszukaństwa brały w łeb. Ta gromada nędzarzy ulegała podszeptom, które rozbijały i tak nie bardzo mocną jedność. Na wypadek strajku mogłeś być pewny napływu wielkich rzesz, które za grosze gotowe były spełnić rolę łamistrajków i zająć miejsce zwolnione przez walczących. Ot, masz sytuację.

Lecz mimo to robota ruszyła. Kontaktowałem się z dwoma nauczycielami, z młodzieżą „Wiciową", która odbijała od Solarzów; poza tym byli robotnicy fabryczni, mocni i twardzi ludzie, robotnicy folwarczni,drobni rzemieślnicy, czapnikarze, szewcy na których stawialiśmy wiele, bowiem drobnomieszczaństwo ubożało z dnia na dzień i albo trafiało do bojówek faszystowskich, albo lgnęło do ruchu rewolucyjnego. W tym okręgu sytuacja rzemieślnika była szczególnie trudna. Im mniej wieś kupowała tym szybciej wzrastały szeregi głodujących i wówczas rozpoczął się bój pomiędzy nami, między KPP a siłami reakcji i faszyzmu. Nagle się okazało, że stragan w Radomiu czy Przytyku jest źródłem wszelkiego zła, a zło było dlatego, że za tym straganem stał jakiś brodaty Chaim, czy Srul. Reakcja głosiła, że skoro za tym straganem stanie zamiast brodatego Chaima jakiś Michał pozbawiony brody — nędza zniknie i wszystko będzie dobrze. Byłeś kiedy na takim okręgu? Zaprzeczyłem — zawsze byłem na okręgach przemysłowych. Odrzekł: no, to ci się udało, nie znasz więc tych spraw tak, jak ja je znam, a trudności wzrastały z dnia na dzień. Raz na miesiąc jeździłem do Warszawy, składałem sprawozdania, dyskutowaliśmy o sytuacji, uwzględniając specyfikę poszczególnych okręgów w kraju, nigdy przed towarzyszami nie ukrywałem trudności i po każdej odprawie, po każdej dyskusji i analizie wracałem do pracy ze wzmożoną energią. Od towarzyszy dowiadywałem się, że nasz ruch się umacnia, nabiera mocy i mimo że wszyscy funkcjonariusze Partii mieli trudności, moje może nie były największe.

Wsiąkłem w najgorszym czasie, pod koniec kwietnia, gdy przygotowania pierwszomajowe były w pełni. Ciskałem się i pieniłem na myśl o tym jak stanę kiedyś przed towarzyszami, bo zdaje się, że w dziejach KPP nie było równie idiotycznego wpadunku. Jeszcze teraz, po tylu latach, gdy wspominam o tym, czuję jak mnie krew zalewa.

Wracałem pod wieczór do Radomia pedałując zapamiętale, rower był w porządku, miał tabliczkę, najpewniej o fikcyjnym numerze, ale na śmierć zapomniałem, że nie mam latarki. Już było za późno. Na rogu — czy znasz Radom? — tam gdzie apteka, zatrzymał mnie policjant.

— Panie ładny, a co to dziś za święto, że bez latarki jeździmy?

— Zgubiłem ją właśnie, odrzekłem szybko i nie zdążyłem kupić nowej, sklepy już zamknięte.

— No to trzeba prowadzić rower za rączkę. Pan płacisz mandat.

Odetchnąłem i sięgnąłem do kieszeni po pieniądze. Z przeciwległego rogu oderwała się jakaś postać i zmierzała ku nam.

Przybyły zwrócił się do policjanta, nazywając go Karolem i rzekł:

— Cóż to, tu w ciemności będziesz wypisywał mandat. A może tak podejdziecie pod światło, pod aptekę. Ręką wskazał oświetlone okna.

Ruszyliśmy we trójkę pod aptekę.

— Proszę o dowód.

Okazałem paszport, policjant odczytał moje nazwisko: Ściborowski, ale wtedy jego towarzysz spojrzał na mnie. Oglądał mnie w pełnym świetle jasno rozjarzonych okien apteki. Nagle uniósł dłoń, położył ją na moim ramieniu i rzekł:

— Panie, skąd my się znamy?

— My się nie znamy.

— Na pewno? Coś mi się widzi, że gdzieś już pana widziałem.

— Może, ale ja pana nie znam.

— No to chodźmy na komisariat.

Wzięli mnie między siebie, o wianiu mowy nie było.

Komisariat był jasno oświetlony. Stanąłem u bariery dzielącej obszerny pokój na dwie części i szpicel sięgnął ponownie po paszport, złożył go na stole i podszedłszy do bariery znów zapytał z namysłem:

— Skąd my się znamy?

Milczałem. A on znów swoje:

— Zaraz, zaraz, skąd my się znamy?

Szpicel był obcy, nie znałem go z całą pewnością i nagle przypomniałem sobie. Nie, nie przypomniałem sobie jego twarzy, przypomniał mi się mój kilkudniowy pobyt u matki w Lublinie rok temu i mignęła mi myśl: to jeden z tych, którzy mnie wtedy odwiedzali, aby mi się przyjrzeć w mieszkaniu matki. Otworzył paszport i w ciszy, która nagle zapanowała odczytał moje nazwisko: — Ści — bo — row — ski.

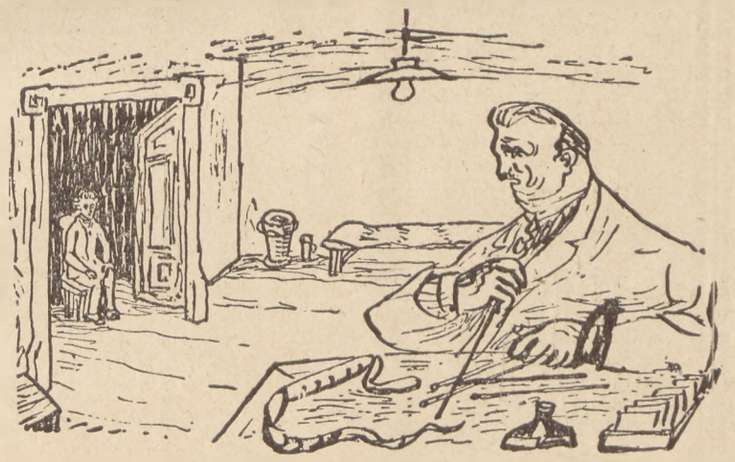

Patrzał mi prosto w oczy, jeszcze raz odczytał nazwisko i zapytał:

— A Witeckiego pan zna?

Poczułem jak fala krwi zalewa mi serce. Poznał mnie.

— Nie znam takiego.

Odszedł od bariery, przechylił głowę i patrząc na mnie z ukosa powiedział z sarkazmem:

— Zobaczymy — i obojętnie już: a no, przekonamy się. Zwracając się do policjantów dodał:

— Do mojej dyspozycji. Cela A.

Po kilku chwilach znalazłem się w celi komisariatu. Zrewidowali mnie bardzo dokładnie, ale nie znaleźli żadnych zapisków, zabrali mi szelki, krawat, zegarek i zamknęli drzwi. Byłem wściekły i gryzłem palce do krwi. Gdy po godzinie powiedzieli mi, że adres podany im, pod którym rzekomo mieszkam, jest fikcyjny sprawa stała się jasna. Dla mnie i dla nich.

Tej samej nocy wezwali mnie na śledztwo. Z piwnicy w której przebywałem do tej pory przeprowadzili mnie na drugie piętro. Szliśmy długo nieoświetlonym korytarzem, wreszcie w ciemnym pokoju, którego drzwi były uchylone do sąsiedniego oświetlonego, kazali mi usiąść.

W sąsiednim pokoju było jasno, widziałem stół i owego nieznanego mi szpicla przy stole. Byłem sam, ale tamten wiedział, że jestem w pobliżu, słyszał nasze kroki, głos policjanta, który kazał mi usiąść, słyszał później jego oddalające się kroki, ale udawał, że nie wie nic o mojej obecności. W pewnej chwili usłyszałem skrzyp otwieranej szuflady. Wzrokiem obejmowałem stół i teraz pojąłem, że drzwi uchylono z rozmysłem. Szpicel wyjmował powoli z szuflady bykowiec, uniósł go wysoko, abym mógł ujrzeć jego prężną długość i moc, poczem ułożył go z lubością na po-

(dokończenie na str. 7)

wojnę imperialistyczną. Już wtedy rozumiał, kto będzie z niej czerpał korzyści i jakie nieszczęścia przyniesie ona ludowi. Ogarnięty wielką miłością do człowieka umacniał w swym przedrewolucyjnym poemacie „Wojna i pokój" (1916 r.) ideę braterstwa prostych ludzi wszystkich narodowości. W epoce radzieckiej był Majakowski konsekwentnym bojownikiem pokoju. Jednocześnie całą duszą sprzyjał dążeniu uciśnionych narodów do rozprostowania grzbietu i zrzucenia narzuconego im kolonialnego jarzma. Wiele z napisanych wówczas wierszy Majakowskiego robi wrażenie jak gdyby były pisane dzisiaj.

Z wielką siłą wyraził Majakowski święte uczucie radzieckiego patriotyzmu, uczucie nierozerwalnego związku człowieka kraju socjalistycznego ze swym społeczeństwem, swoją Ojczyzną. Obywatel i Ojczyzna! Poeta poświęcił temu tematowi wiele, wiele utworów. W pracy, w bohaterskich czynach podejmowanych dla kraju, widzi on sens życia. W chwilach najgłębszej, ogólnonarodowej żałoby, w dniu śmierci i pogrzebu Włodzimierza Lenina — więź poety z narodem jest tak wielka, że „wspólne są nawet łzy w oczach".

W dni radosnych świąt rewolucyjnych niósł poeta na Plac Czerwony „wraz z milionami serce swoje". Ale płomienna miłość Majakowskiego do narodu radzieckiego nierozdzielnie wiąże się z miłością i szacunkiem do innych narodów, z zainteresowaniem się ich wolnością i szczęściem. Dlatego tak wzruszają nas wiersze o zabitych podczas osunięcia się ściany francuskich murarzach, o Murzynie Willy, o chińskich robotnikach. Gdy w r. 1927 w Jarosławlu proszono Majakowskiego, by przeczytał najlepszy swój wiersz, wtedy „zbity z poetyckiego tropu", zakomunikował słuchaczom właśnie otrzymaną wiadomość o sukcesie walki wyzwoleńczej w Chinach:

Towarzysze!
robotnicy
i żołnierze Kantonu
zajęli
Szanghaj!

(„Najlepszy wiersz")

Majakowski dużo podróżował i dobrze znał życie. Wiedział jak żyje biedak-meksykańczyk, odżywiający się zgniłymi pomarańczami — bez pracy, pozbawiony wszelkich praw. Znał życie niemieckiego robotnika i polskiego parobka. Doskonale rozumiał sprawy paryskiego proletariusza.

Majakowski namiętnie demaskował zakłamanie burżuazyjnych demokracji, świętoszkowatą nikczemność „strzeżonych przez pałki gumowe" policyjnych swobód w USA. „Amerykańskie babsko — Wolność" — oto ironiczne przezwisko, jakie Majakowski nadał posągowi z pochodnią, za którego plecami wiesza się Murzynów i mianuje się prezydentów dla kolonizowanych narodów. Oczami radzieckiego człowieka, szczerym spojrzeniem dostrzegł, że w New Yorku za barwnym kalejdoskopem reklam kryje się

dla jednych — beztroska
dla innych —
przeciągły skowyt głodu.

(„Most brooklyński").

Będąc za granicą widział, jak daleko w Związku Radzieckim ludzie posunęli się naprzód, jak wyrośli ponad stare życie, jak rozjaśniło się oblicze człowieka w kraju bez kapitalistów, bez obszarników, „bez niewolników i panów". W drodze z zagranicy do kraju, Majakowski rozmyślał:

Ja przecież
radzieckim
czuję się warsztatem
wyrabiającym szczęście.

I wyrywał się do Związku Radzieckiego, by wypracować to szczęście, szlifować je, ujmować w zadziwiające rymy, w obrazy wyraziste jak samo życie.

Ale i to uczucie — tworzenia szczęścia — nie należy przecież wyłącznie do poety. „Wyrabiają szczęście" w radzieckim państwie wszyscy ludzie pracy — kołchoźnicy, hutnicy, tkacze, uczeni, kompozytorzy, matki wychowujące dzieci, nauczyciele wykładający uczniom elementy wiedzy. Ludzie radzieccy dowiadują się o tym „wyrabianiu szczęścia" z raportów o osiągnięciach radzieckiego przemysłu i rolnictwa, z ogłoszeń o nowych, coraz nowych zniżkach cen, z listów kołchoźników i robotników do towarzysza Stalina. Tak, my, ludzie radzieccy pracą swą tworzymy społeczeństwo ludzkiego szczęścia — komunizm.

Proletariusze
przychodzą do komunizmu
z nizin szybów
od sierpów
i wideł

— pisał Majakowski. I w dalszym ciągu afirmował swą nierozerwalną więź z narodem, swoje prawo poety do uczestniczenia w dziele budowy komunizmu:

Ja
z niebios poezji
skaczę w komunizm
dlatego,
że poza nim
miłości
nie widzę.

...Kiedyś, przed wojną, schodząc na stację metra „Majakowskaja", ujrzałem na jadących stopniach eskalatora, młodzieńca z komsomolską odznaką na kurtce. Trzymał w rękach tomik wierszy Majakowskiego. Obserwowałem jego palce, ostrożnie przewracające kartki. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem znajome strofy. Była to ta stronica z poematu „Dobrze", w której poeta mówi, że: „ziemi, z którą głodowałeś razem, nigdy zapomnieć nie można". Były to te same strofy, które w latach wojny narodowej znajdowano wypisane w pamiętnikach komsomolców poległych w obronie ojczyzny, w obronie pokoju całego świata.

Poeta nauczał i nadal uczy młodzież miłości do swojej socjalistycznej ojczyzny, bezgranicznej wierności sprawie Lenina-Stalina, prawdziwego koleżeństwa, czystej i wiernej miłości. Nie umniejszając trudności, nie ukrywając braków, krytykując przeżytki przeszłości w świadomości i w życiu codziennym — Majakowski wlewa w serca ludzi wiarę i energię. Przed rewolucją głosił: „Wierzcie... Przyjdzie człowiek, o którym krzyczę"... W pierwszych, ciężkich jeszcze latach epoki radzieckiej, zaszczepiał wiarę w to, że „tam za górami nieszczęść słoneczna ziemia dziewicza".

W dziesięciolecie Października powiedział: „z roku na rok będzie rosła nasza rzeźkość". Majakowski stworzył na długie lata szczęście swą zadziwiającą poezją, szczęście trwałe, czyste, ożywiające, uszlachetniające człowieka. Mówił ludziom:

Wam pić
w przyszłości
wszystkie soki ziemi
Świat jak czarę
odwracając dnem do góry!

Takie strofy się nie starzeją. Taka miłość do ludzi, do ich przyszłości, — pozostaje nieśmiertelna.

Na tę miłość poety odpowiedziała Radziecka Ojczyzna słowami Józefa Stalina: „Majakowski był i pozostanie najlepszym, najbardziej utalentowanym poetą naszej radzieckiej epoki".

Takiego poetę powinni przeczytać i poznań wszyscy prości ludzie na całym świecie.

Siemion Kirsanow.

LUDWIK B. GRZENIEWSKI

KU CZYJEJ CHWALE?

Krytyk siadając do pisania recenzji zdaje sobie zazwyczaj sprawę, że o jednej i tej samej książce mógłby napisać parę razy w różny sposób. Nie chodzi tu o jakiś cynizm czy hipokryzję. Ot, po prostu i o tym warto by napisać, i tamten problem uwypuklić i rozwinąć — a wiemy, że rąmy pism są szczupłe i wszystkiego co kotłuje się w mózgach recenzentów pomieścić, jako żywo, nie mogą. Dlatego też powiedzieć trzeba tylko to, co wydaje się ważne i konieczne. Tak postąpimy i z książką Marshalla*). Postaramy się dać jednoznaczną odpowiedź na ckliwy zachwyt krytyków katolickich, wywołany polskim przekładem „Chwały córy królewskiej". Ta sprawa wydaje się nam najważniejsza...

A można by różnie pisać... Zaczepić np. o „Listy o Angielczykach" Woltera i wykazać, że dziś jest akurat odwrotnie niż w wieku XVIII: dawniej Francja importowała z opóźnieniem ładunek myślowy kapitalistycznych filozofów i pisarzy angielskich, dzisiaj Anglia z opóźnieniem importuje francuskie „izmy". I tak, w Anglii w malarstwie szaleje obecnie surrealizm i psychoanaliza, na półkach księgarskich Joyce, Lawrence i Virginia Woolf, zapomniani już za granicą, tutaj jako ostatni krzyk mody tumanią głowy snobizującej się młodzieży. Dalej, ciągnąc nasz wywód za uszy, można by szeroko rozwodzić się, jak to po śmierci Bernanosa i Saint-Exupéry'ego i ostatecznym skapcanieniu Mauriaca i Claudela — literatura katolicka rozeszła się z paryskiego centrum i wedle słów klerykalnych krytyków wykazuje „wspaniały rozkwit" w Wielkiej Brytanii, nie mając — rzekomo — „nic wspólnego" ze zdegenerowaną literaturą burżuazyjną... Teraz posypały by się nazwiska: Graham Greene, Evelyn Waugh, Bruce Marshall, C. S. Lewis — i tytuły książek: „The Power and the Glory", „The Heart of the Matter", „Brideshead Revisited", „The Screwtape Letters"...

Ograniczymy się jednak do książki Marshalla, która wydana przez jedną z katolickich firm wydawniczych jako wytwór „niezależnej od imperializmu" zachodniej kultury katolickiej, stanowi charakterystyczny przejaw głośno reklamowanego — realizmu katolickiego.

Czyż można zaprzeczyć, że jest to „realizm"? Jest przecież i biskup gotujący kiełbaski, rubaszny prałat O'Duffry, który zaczepiającym go dziewczętom ulicznym odpowiadał: „Spłoniesz w piekle jak wiązka chrustu, ty szmato"; są tramwaje, kina, dobre siostrzyczki zakonne, wyrzucone z bezbożnej Francji — i co najważniejsze, jest przeciętny, „typowy" ks. Smith — właśnie Smith! — i jego zwyczajne, bogobojne życie od roku 1908 do lat czterdziestych. Wszystko zaś można by określić dwoma terminami: „mały naturalistyczny realizm" i „Dickens w miniaturze".

Marshall z humorkiem opisuje obrzędy religijne, ale właśnie dzięki temu humorkowi sceny te sprawiają na czytelniku wrażenie jakiegoś groteskowego teatru cieni. Myślę, że są one, wbrew zamiarom autora, doskonałą ilustracją słów Lenina o religii jako opium. Zresztą Marshall mimo humoru jest pesymistą, sam powiada, że „modły za nawrócenie Szkocji nie na wiele się zdadzą" — jakże daleko jesteśmy od optymizmu H. R. Bensona, który w „Brzasku wszechrzeczy" przewidywał na rok 1963 triumf katolicyzmu w Anglii. Dalej też, nie wierząc w odrodzenie religijne kraju uwikłanego w sprzecznościach ustroju kapitalistycznego, nie umiejąc zdobyć się — rzecz jasna — na marksistowską analizę tych sprzeczności, „wyjścia" z tej sytuacji szuka Marshall w „reformie" kapitalizmu według recepty Watykanu. Nie trzeba dodawać, że „reforma" taka jest po prostu sojuszem z imperializmem.

Tę aprobatę istniejącego „status quo" da się odczytać we fragmencie nawrócenia przez ks. Smitha w godzinie śmierci marynarza, który przez całe życie „robił różne świństwa". Symbolika tej sceny ma bowiem głębszą wymowę. Marshall nawiązuje w niej świadomie — jak i dziesiątki innych współczesnych pisarzy katolickich na Zachodzie — do średniowiecznej legendy powiadającej, że jeden ostatni czyn może zadecydować o losie i zbawieniu człowieka. Jest coś głęboko niemoralnego w tej legendzie. Przez propagowanie jej zdają się mówić intelektualne tuby Watykanu pod adresem kapitalistów i podżegaczy wojennych: Walczcie z wszystkim co postępowe, nie zapominając o używaniu życia — a wasz „ostatni czyn", skrucha okazana w godzinie śmierci, poparta codziennym odmawianiem zdrowaśki przed zaśnięciem (to przecież „drobnostka") zapewni wam zbawienie. Inaczej odrodzenia tej legendy rozumieć nie można na tle obecnej sytuacji światowej.

Krytycy katoliccy roztkliwiają się nad postępowością ks. Smitha i samego Marshalla. Rzeczywiście biskup szkocki, zwierzchnik ks. Smitha wierzył, że „wojna przyniesie w swych skutkach wielkie i trwałe duchowe korzyści" — ale potem wyleczył się z tych złudzeń; w r. 1922 sądził, że „młodzież katolicka uczyniłaby dobrze, zwracając swe oczy ku Włochom, gdzie pewien człowiek imieniem Mussolini tyle robi dla swego kraju" — ale potem zrozumiał swój błąd. Jesteśmy bardzo zadowoleni z tej ewolucji poglądów, ale trzeba powiedzieć jasno, że są pewne tezy, które Marshall w swej książce wysuwa i których *nigdzie* ani przez usta bohaterów ani sam — nie dezawiuje. Czyli mamy prawo uważać, że w pełni się pod nimi podpisuje. Poniżej skonstruujemy więc maleńki wykładzik owej „pozytywnej" filozofii tego „niezależnego" od kapitalizmu pisarza katolickiego.

„Historia uczy — powiada Marshall przez usta ks. Smitha — że większość ludzkich wynalazków używana bywa raczej do złych niż do dobrych celów. Gdybym ja był Bogiem wszechmocnym, nie pozwoliłbym Jamesowi Wattowi przyglądać się wrzeniu tego przeklętego kociołka. A sądzę, że nie dopuściłbym do głosu również i Marconiego, i Edisona. Bowiem wszystkie te wynalazki burzą główny cel kościoła: by człowiek był cichy..." (str. 72). Wobec takiego stanowiska najwspanialszą epoką, jaką ludzkość przeżyła, było średniowiecze: „Jedyny raz, kiedy ludziom udało się stworzyć coś naprawdę pięknego, to wtedy, gdy budowali kościoły i katedry w wiekach średnich" (str. 143 — 144). Stąd już niedaleko do innych średniowiecznych ulepszeń. „Nie miało sensu głoszenie Ewangelii tylko tym, którzy przychodzą do kościoła, by jej słuchać. Ewangelia powinna być głoszona również tym, którzy jej słuchać nie chcą" (str. 138). Fanatyzm! — krzyknięsz, oburzony czytelniku. Posłuchaj więc co Marshall sądzi o fanatyzmie: „nie powinniśmy bać się nazwy fanatyków, ponieważ fanatyzm jest tylko innym określeniem dla logicznego działania". (str. 71).

Tak oto wylądowaliśmy w apologii średniowiecza, żywcem przeniesionej z książek Chestertona. Redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego" nazywa wprawdzie Chestertona „zdecydowanym przeciwnikiem kapitalizmu", ale nie przeszkadza mu, że pisarz ów postulował powrót do najciemniejszych tradycji średniowiecza, do jakiegoś katolickiego korporacyjnego faszyzmu. Chesterton jest obok Leona Bloy najbardziej ponurym z pisarzy jakich wydał katolicyzm naszej epoki. Czyż to nie on właśnie pisał, że wszyscy materialiści i racjonaliści są ludźmi umysłowo chorymi i wobec tego winni być zamknięci w domach dla wariatów? (Stąd do obozów koncentracyjnych niedaleko.). Pamiętamy dobrze złośliwą sylwetkę Chestertona z „Ostrza na ostrze" Huxley'a, jako jezusikowatego utrzymanka starych dewotek, przeplatającego sprośności barankiem i św. Franciszkiem z Asyżu.

Oprócz mądrości przejętej od swego duchowego ojca Bruce Marshall wypowiada również wiele rewelacyjnych poglądów na współczesne nam wydarzenia. Główną jego tezą jest, że „Bóg posłał was na świat, abyście zbawili swoje dusze, i nic więcej nie ma znaczenia" (str. 69). Nic też dziwnego, że ks. Smith przejęty ową maksymą i apologią średniowiecza „nie bardzo wiedział co myśleć o strajku, ponieważ zdawało mu się, że robotnikom naprawdę dzieje się krzywda, chociaż nie pochwalał sposobu, w jaki włóczyli się po mieście z rękami w kieszeniach". (str. 141) Patrzcie, państwo, „z rękami w kieszeniach"?! Ale i na nich przyjdzie opamiętanie i w chwili śmierci na szubienicy jeden z nich — w interpretacji polskiego tłumacza — zawoła: „Psze księdza, psze księdza, tak się bojam..." A jakże aktualnie w dzisiejszych warunkach brzmią słowa biskupa, że świat ściągnął na siebie wojnę tylko dlatego, ponieważ mężczyźni i kobiety nie chcieli poddać się tym wyrzeczeniom oraz obowiązkom umiaru i posłuszeństwa, z których wyrosła ich cywilizacja" (str. 218). Kubek w kubek to samo pisała Kossak-Szczucka o Oświęcimiu. Zresztą kościół nie jest bardzo zainteresowany walką o pokój, gdyż „istnieje rzecz gorsza niż śmierć miliona młodych ludzi na polu bitwy. Tą rzeczą jest śmierć w łóżku jednego starca, który znajduje się w stanie ostatecznej zatwardziałości" (str. 173). Słowa te trudno uznać za coś innego niż prowokację. Tymczasem ks. Dąbrowski żarliwie informuje nas w przedmowie do polskiego wydania książki Marshalla, że autor jej ma „głębokie wykształcenie teologiczne" i prawdziwie interpretuje dogmaty Watykanu. Teraz rozumiemy...

Oto prawdziwe oblicze autora, sprytnie ukryte w dobrotliwym humorku i „postępowych" frazesach. Oto powody, dla których książka Marshalla cieszy się w pewnych środowiskach dużą popularnością. Tak, cieszy się, bo odrywa od rzeczywistych problemów naszych czasów, bo daje zdeformowany obraz świata oglądany z okien zakrystii, skąd widać afisze kinowe (te afisze z nazwiskami amerykańskich gwiazd są główną informacją o zmianach zachodzących w świecie), bo w ciepłych, dobrotliwych słóweczkach, pod pozorem „wiary" — książka Marshalla głosi chwałę Ciemnogrodu i obskuranckiego wsteczнictwa.

I jeszcze jedna sprawa. Kiedyś pewien angielski krytyk katolicki pisał, że w książce Marshalla znajduje pełny wyraz myśl chrześcijańska, sięgająca tradycją aż po Tomasza z Akwinu. Naturalnie jako gorliwy katolik wkłada autor ową mądrość w usta występującej w książce postaci „Jego ekscelencji Jamesa Michaela Gabriela, biskupa z łaski Boga i poparcia Stolicy Apostolskiej". Warto, abyśmy się przekonali, skąd bierze się ta mądrość biskupa, która swe ukoronowanie znajduje — wedle cytowanego krytyka — w radach, jakie ów biskup wygłasza na łożu śmierci, ku zbudowaniu maluczkich. I tak na maksymę świątobliwego biskupa: „Dzikus, który pierwszy ukuł powiedzenie: „biały jak śnieg", był oryginalnym myślicielem i poetą zarazem, ale tysiące i miliony bezmyślnych powtórzeń jego porównania obdarły je nie tylko z piękna, lecz i z sensu" (str. 219) — pozwolimy sobie przytoczyć jako źródło tej mądrości króciutki aforyzm Heinego: „Pierwszy, który porównał kobietę do kwiatu, był wielkim poetą, drugi — cymbałem". Czytelnikom pozostawiamy do rozstrzygnięcia, kto tu jest oryginalnym myślicielem a kto cymbałem. Ktoś powie, że to przypadkowa zbieżność. A więc z tej samej skarbnicy maksym umierającego biskupa przytoczmy inny kwiatuszek: „Czasem więcej znaczy, gdy powie się „Kościół", niż gdy powie się „Kościół, nasza święta Matka", gdy powie się „miłosierdzie" zamiast „wiekuiste miłosierdzie", „wielki post" zamiast „pokutny okres wielkiego postu", bowiem przymiotniki nie tylko określają imiona, ale również przyczyniają się do ich skamienienia" — i jako naszą odpowiedź zacytujemy mądre zdanie Flauberta: „jeżeli chcecie napisać, że „pada deszcz" — piszcie: „pada deszcz", ale nie piszcie nigdy: „nieskończone strumienie wody leją się z nieba na ziemię".

Nie przytaczam tego dla jałowej zabawy wpływologicznej, ale po to, aby pokazać, jak znieprawiony dickensowski humor, wyprany z wszystkiego co w nim było postępowe, zaprawiony chestertońskim neośredniowieczem i mądrymi maksymami takich ateistów jak Heine czy Flaubert, przyrządzonymi w religianckim sosiku — dał w rezultacie książkę spełniającą postulat „realizmu katolickiego" i rozkupioną przez wszelakie kołtuństwo w piorunującym tempie.

Dlatego sądzę, że po powyższych wywodach, i tak za długich jak na „zalety" omawianej książki, chociaż dziś jeszcze niezbędnych — na pytanie postawione w tytule recenzji wolno nam odpowiedzieć: ku chwale kapitalizmu i to „lepszego" kapitalizmu, bo „poprawionego" Watykanem. Albowiem książka Bruce Marshalla jest — powiedzmy jasno — książką wsteczną i szkodliwą.

Ludwik B. Grzeniewski.

*) **Bruce Marshall:** Chwała córy królewskiej (All glorious within), J. J. Szczepański, Sp. Wyd. „Pax", 1949, str. 240.

Z PIERWSZEJ OGÓLNOPOLSKIEJ WYSTAWY PLASTYKI

Stanisław Poznański — Budowa

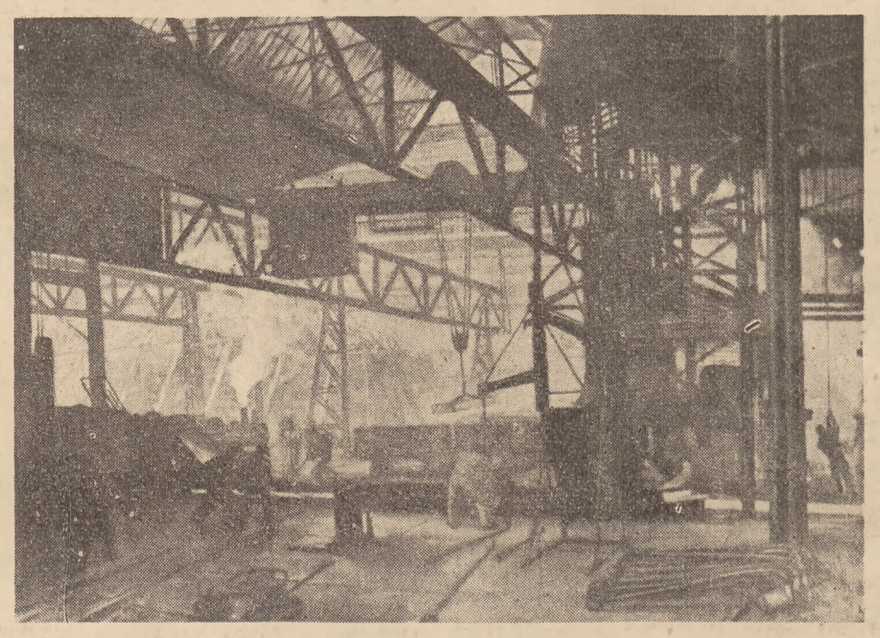

Czesław Kuriatko — Walcownia huty „Kościuszko".

WŚRÓD KSIĄŻEK

„Wybór pism" Stanisława Staszica*) wydany w serii: „Biblioteka pisarzy polskich i obcych" („Koryfeusze polskiej myśli demokratycznej"), jest publikacją cenną i aktualną, gdyż wiązanie wątków tradycji postępu w literaturze i publicystyce polskiej stanowi w warunkach dzisiejszych zadanie niezmiernie żywotne i celowe. Obszerny wstęp pióra Celiny Bobińskiej, poprzedzający „Wybór pism" staszicowych, ma poważną, autonomiczną wartość historycznoznawczą i — z punktu widzenia ogólnych założeń wydawców „Biblioteki" — jest niezbędnym uzupełnieniem „Wyboru" i wielce pożądanym komentarzem do zamieszczonych w nim tekstów.

Na szeroko zarysowanym tle politycznej i społecznej sytuacji Polski w latach rozbiorowych i na początku w. XIX, daje Bobińska dość szczegółową i wnikliwą analizę poglądów i myśli Staszica, posiłkując się głównie dwiema jego podstawowymi publikacjami: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego" i „Przestrogi dla Polski".

Znajdziemy tu więc zarys filozoficznych i wychowawczych poglądów Staszica, jego zapatrywania na społeczeństwo i sprawy ustrojowe, na rolnictwo i kwestię chłopską, na przemysł i handel, wreszcie — surową krytykę magnaterii, uzasadnienie prymatu interesów narodu jako całości nad interesami poszczególnych grup i warstw społecznych oraz rozważania na temat sytuacji Polski, otoczonej przez trzy wrogie absolutyzmy ościenne.

Przejrzyście, z uwzględnieniem wszystkich elementów subiektywnych i obiektywnych działalności Staszica, rysuje Bobińska jego postać, jako „jednego z największych luminarzy naszego szlacheckomieszczańskiego oświecenia doby upadku", jako postać wybitną, która — będąc rzecznikiem poglądów górnych i średnich warstw zasobnego mieszczaństwa — ujawnia wiele sprzeczności wewnętrznych, stanowiących wyraz i odbicie skłóconej w sobie świadomości całego ówczesnego społeczeństwa.

„Staszic — pisze Bobińska — podejmuje i szerzy... ideę dojrzałego, zachodnioeuropejskiego społeczeństwa"... Jednak „nie ma w nim jakobińskiej zawziętości i konsekwencji... Krytyka staszicowska znajduje się w kolizji z feudalną polską rzeczywistością. Gdy krytyka ustępuje miejsca praktycznym poszukiwaniom dróg wyjścia, Staszic pozostaje na gruncie ówczesnej rzeczywistości. Toteż często Staszic-krytyk przeczy Staszicowi-reformatorowi".

Mimo braku konsekwencji i zdecydowania w poglądach i pomysłach reformatorskich, dotyczących m. in. kwestii chłopskiej, Staszic dał przecież osobiście dowód daleko idącej postępowości i liberalizmu w tych właśnie sprawach, tworząc słynną Fundację Hrubieszowską, która przekazywała obszerne dobra ziemskie Staszica na własność gromadzie chłopskiej.

Mimo swych błędów, niekonsekwencji i sprzeczności, Staszic należał do tych umysłów, które „decydowały o kierunku i zabarwieniu ówczesnego polskiego postępu". Zdemaskowanie rozkładowej roli magnaterii oraz przyczynienie się do powstania Konstytucji Majowej — już te dwie choćby zasługi Staszica uzasadniają słuszność powyższej charakterystyki. Człowiekowi tego pokroju należy się miejsce w pamięci potomnych, a „Wybór pism", o którym tu piszemy, z pewnością to miejsce poszerzy i utrwali.

b. d.

*) Biblioteka pisarzy polskich i obcych. Koryfeusze polskiej myśli demokratycznej. Pod redakcją Kazimierza Budzyka. — 42. — *Stanisław Staszic. Wybór pism.* Opracowała i wstępem opatrzyła Celina Bobińska, „Książka i Wiedza". — Str. LIII i 3 nl. i 139 i 5 nl.

KORESPONDENCJA

Jeszcze o teatrach lalkowych

Z dawna już, jako krytyka artystycznego, interesuje mnie żywo sprawa teatrów lalkowych. Zasadnicza rola, którą w widowisku lalkowym odgrywa element plastyki, sprawia, że widowisko takie staje się w wielu wypadkach bliższe dziedzinie krytyki plastycznej, niż „czysto" teatralnej. Niestety dotarcie do rozproszonych po kilku miastach teatrów lalkowych nie zawsze jest rzeczą łatwą, zważywszy, że nie działają one zbyt regularnie.

Nie miałem również możliwości zobaczenia warszawskiego festiwalu sztuk radzieckich, w których wystąpiła większość owych teatrów. Wskutek tak niepomyślnych okoliczności moja znajomość widowisk lalkowych lat ostatnich jest dosyć niekompletna. Wszystko to skłaniałoby mnie na razie do przezornego milczenia, gdyby nie recenzje na temat przedstawień festiwalowych, które ukazały się ostatnio w prasie literackiej. Otóż recenzje te, a zwłaszcza artykuł Z. Karczewskiej-Markiewicz zamieszczony w ostatnim numerze „Odrodzenia" — dają niewłaściwą moim zdaniem ocenę pracy znanego mi z kilku przedstawień krakowskiego teatru „Groteska". Sprawę tę uważam za istotną ze względu na pewne wartości artystyczne, stanowiące o odrębności osiągnięć tego teatru. Widzę w nich bowiem pozycję szczególnie cenną i ważną w dorobku naszej sztuki widowiskowej. Myślę mianowicie o odrębnym typie widowiskowości realizowanym przez „Groteskę" w jej przedstawieniach zwłaszcza z ostatnich dwóch lat. Widowiskowość ta polega przede wszystkim na wyjściu z tradycyjnego schematu małej pudełkowej scenki i śmiałym, nowatorskim rozbudowaniu przestrzeni scenicznej w kilku planach pozwalających na inscenizację złożonego wątku dramatycznego. Ta rozbudowa przestrzenna nie jest jakimś mechanicznym zabiegiem zmierzającym do zadziwienia widza niespotykanymi gdzieindziej rozmiarami sceny. Zabieg ten wynika bowiem konsekwentnie z koncepcji reżyserskiej, w której ruch widowiskowy obejmuje nie tylko lalki, lecz całą przestrzeń sceniczną. Zasada grania całą przestrzenią sceniczną pozwala reżyserowi rozwinąć wątek baśniowy nie tylko od strony fabularno-wychowawczej (do czego często zacieśnia go przedstawienie „pudełkowe"), ale ukazać go w przestronnej perspektywie epickiej, a więc bardziej realistycznie w stosunku do utworów, w których występuje szerszy przekrój życia zbiorowego.

Tak się rzecz miała np. w inscenizowanych przez Władysława Jaremę baśniach „Cudowna lampa Aladyna" i „Konik Garbusek". W „Lampie" właśnie przestrzenność i ruchomość scenografii pozwoliła na tak trafną charakterystykę życia społecznego i obyczajowego w egzotycznej tyranii sułtana oraz na niezwykle sugestywne wydobycie elementu fantastyki ludowej i scen lirycznych. Przedstawienie to cechowała całkowita równowaga między ruchem sceny i ruchem aktorów. W „Koniku Garbusku" zadanie inscenizacyjne i kierunek jego rozwiązania przedstawiają się podobnie. Brak jest tylko w pewnym stopniu owej równowagi, co słusznie zauważa recenzentka „Odrodzenia", stwierdzając, że lalki są zbyt nikłe w stosunku do dekoracji. Następnie jednak Karczewska-Markiewicz dodaje, że oprawa plastyczna „Konika", przytłaczająca mieszaniną form i stylów piękne sceny lalkowe, nie ma nic wspólnego z językiem teatru lalek, podobnie jak naturalistyczne tło i lalki łódzkiego teatru „Arlekin". Zdanie to oraz zawarte w nim porównanie uważam za gruntownie niesłuszne i fałszywe, co razi szczególnie w zestawieniu z rozsądnym na ogół biegiem myśli w całości artykułu. Dekoracje do „Konika Garbuska" odznaczają się bowiem bardzo sugestywną realistyczną trafnością w ramach widzenia baśniowego i doskonale współgrają z akcją sceniczną zarówno swym plastycznym wyrazem jak celowością układu przestrzennego. Trudno tam mówić o jakiejś „mieszaninie form i stylów", jakkolwiek bowiem wśród mnogości świetnych obrazów scenograficznych zdarzają się pozycje mniej konsekwentne i słabiej zorganizowane — nie podważają one w sposób istotny jednolitości wizualnej całego przedstawienia. Faktu tego nie zmienia częściowo błędne w stosunku do dekoracji ustalenie rozmiaru i formy lalek. Nawet biorąc pod uwagę ten błąd i zgadzając się na zarzuty dotyczące zbyt luźnej kompozycji całości — stwierdzić trzeba, że „Konik Garbusek" jest przedstawieniem niezwykle odkrywczym i ambitnym, rozwijającym oryginalną i trafną koncepcję inscenizacyjną „Groteski".

Wolno mieć krytykowi większe upodobanie do tradycyjnych zasad związanych ze sceną pudełkową i regułą oszczędnej dekoracji-tła. Nie sądzę jednak, aby upoważniało go to do całkowitego zaprzeczania lub ignorowania osiągnięć idących w innym kierunku a opartych bez wątpienia o twórczy wysiłek wyobraźni i rzetelną, świadomą swych celów pracę artystyty.

Te cechy występują zdecydowanie w pracy zespołu „Groteski" i one to sprawiają, że krakowski teatr lalkowy, mimo popełnianych błędów, zasługuje w swej działalności na szczególną uwagę i szacunek.

Do sprawy teatru lalek postaram się powrócić niebawem w sposób gruntowniejszy po zapoznaniu się z kilku granymi obecnie sztukami, których nie miałem jeszcze sposobności obejrzeć. Tymczasem w związku ze wspomnianymi recenzjami uważałem za konieczne sformułowanie powyższych uwag, za których umieszczenie wdzięczny będę redakcji „Nowej Kultury".

Janusz Bogucki.

PIW

NOWOŚCI

V. POZNER
STANY NIE BARDZO ZJEDNOCZONE
str. 272

M. SZYSZKOW
RZEKA POSĘPNA
2 t. wydanie drugie
zł 1.200 str. 992

R. SASULY
I. G. FARBEN
zł 370 str. 274

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

WIDZENIE

(dokończenie ze str. 5)

wierzchni stołu. Szczęknęły jakieś żelaza, podłużne rurki grubości ołówka, o których wiedziałem do czego służą. Obliczał je, uderzając jedną rurką o drugą, słyszałem jak liczył półgłosem, ale na tyle głośno, aby mnie to doszło: raz, dwa, trzy, cztery... Sześć rurek. Tyle trzeba było, aby je powkładać pomiędzy palce obu rąk, które ściśnie swymi łapami. Nagle krzyknął:

— Witecki!

Czy zauważył, że się zerwałem z krzesła? Czy nie było za późno? Usiadłem w pośpiechu, bo przecież nie nazywałem się Witecki. Znów krzyknął: Witecki! ale ja milczałem. Skoczył ku drzwiom i rozwarł je szeroko.

— Nie słyszysz, że cię wołam?

— Kogo? Mnie?

— Tak, ciebie!

— Nie wiedziałem, przecież ja nie nazywam się Witecki.

— A jak?

— Ściborowski.

Chwycił mnie za klapę i pociągnąwszy ku sobie wepchnął do oświetlonego pokoju. Wskazał na stół.

— Widzisz?

Gniewnie pochylił rękami moją głowę ku stołowi:

— Widzisz? Będziesz gadał, czy nie? Gadaj dopóki mam cierpliwość.

W spokojnym świetle górnej żarówki widziałem narzędzia tortur, ale dziwna rzecz, niczego się nie bałem, byłem na wszystko przygotowany. Minął mnie i stanął na przeciwko, za stołem. Wyciągnąwszy rękę mówił spokojnie:

— Ty mi tu nie zalewaj, podałeś fałszywy adres, ale ja cię poznałem. W Lublinie byłeś?

— Nigdy nie byłem w Lublinie.

— Matkę masz?

— Nie.

Chwyciła go ponownie złość:

— To ty taki jesteś? Matki się wyrzekasz? Rodzonej matki się wyrzekasz. Zaczekaj ty przeklęty komunisto! Już ja ci pokażę!

W dwa dni później wywieźli mnie z Radomia do więzienia w Piotrkowie. Nie znałem tego więzienia, ale wiedziałem o nim wszystko. Moprowcy często o nim opowiadali, znałem je również z relacji towarzyszy i byłem przygotowany na najgorsze. Czas mijał. Siedziałem w pojedynce, nie wyprowadzali mnie na spacer, a kiedym się upominał, odpowiadali: kwarantanna. Nie chcieli, aby mnie ktokolwiek widział, lub abym się z kimkolwiek zetknął. Któregoś dnia otworzono gwałtownie drzwi i strażnik wepchnął do mojej celi nowego więźnia. Ten odwrócił się momentalnie ku drzwiom i bijąc w nie pięścią krzyczał: nie bij, nie bij! Uspokoił się powoli, rozejrzał po celi, zapytał czy może złożyć swój tłumoczek i dotknął łoża: twarde, cholera i wąskie na dwóch.

Przyglądałem mu się z zaciekawieniem, ale on nie wykazywał specjalnego zainteresowania moją osobą. Udawał zupełnie obojętnego, dopiero gdzieś na drugi czy trzeci dzień rozgadał się, podobno chwycili go na robocie partyjnej i nieoczekiwanie, zwracając się wprost do mnie, zapytał: a was, jak z wami było? Odrzekłem mu, że nie jestem polityczny, miałem tylko jakieś wydarzenie z rowerem, a teraz twierdzą, że moje nazwisko nie należy do mnie, że podobno nazywam się inaczej, ale to im się nie uda. Chcą mi widać wrobić jakąś grubą sprawę, ale jakże wyrzec się nazwiska z którym człowiek się narodził i umrze, no nie? Jeszcze usiłował wciągać mnie w jakieś rozmowy o kwestii chłopskiej, że to niby on ze wsi i z trudem odnalazł drogę do ruchu proletariackiego, ale mu powiedziałem, żeby nie pieprzył, że się na tych sprawach nie znam i znać nie chcę i żeby mnie zostawił w spokoju.

Po tygodniu go zabrali i odtąd znów siedziałem sam.

Po jakich dwóch miesiącach wezwano mnie do kancelarii. Po raz pierwszy opuściłem odseparowany od reszty budynków więziennych, pawilon pojedynczych cel, zmierzając w asyście strażnika w kierunku kancelarii.

Pamiętasz Piotrków? Byliśmy właśnie na podwórzu, które graniczy z murami kościoła, gdy z przeciwnej strony, od bramy „Owczarni" ukazali się dwaj więźniowie. Prowadzili ich strażnicy; zmierzali w moją stronę i nagle zamarłem. Znałem obu. Jednym z nich był szewc z Warszawy, Kleparz, drugim Stanisław Kołodziejek z Dąbrowy.

Przerwałem mu i zapytałem:

— „Mordziałek"?

— Tak, ale zanim zdołałem pomyśleć: co to, czy oni mnie sypnęli, Kleparz, pamiętasz go, ów szczery, barczysty chłop postąpił naprzód, ale przytrzymany przez strażnika cofnął się o krok, zdążywszy jeszcze krzyknąć:

— Witecki, jak się masz!

Był wyraźnie uradowany naszym spotkaniem, wyraził to swym okrzykiem, w którym była niekłamana radość. Kołodziejek milczał, dreptał tymi swoimi wykrzywionymi nogami i wydawało mi się, że usiłuje szarpnąć Kleparza za rękaw, ale już było za późno. Wchodziłem już do bramy i na schodach strażnik, spojrzawszy na papiery, które trzymał w ręce, zapytał:

— Jakto, przecież wy się nazywacie Ściborowski, czemu to ten Kleparz krzyknął na was — Witecki?

— Nie znam tego człowieka, cholera go wie, kogo mu przypominam.

Szliśmy i serce mi kołatało, jak nigdy do tej pory. Czy strażnik pojął co się stało przed chwilą i jak postąpi? A Kleparz, biedny Kleparz co uczyni skoro się dowie, że swym nierozważnym i nieopatrznym okrzykiem wsypał niechcący towarzysza?

Z kancelarii przeprowadzili mnie do sąsiedniego pokoju, który — jak na więzienne stosunki — był urządzony z komfortem. Widocznie znalazłem się w gabinecie naczelnika więzienia. Przy stole siedziało dwóch, niemłodych już ludzi, jeden w mundurze straży więziennej, zdobnym w dystynkcje, prawdopodobnie naczelnik, drugi w cywilu, siwiejący już mocno i ten zapytał mnie o nazwisko.

— Ściborowski.

— Panie Ściborowski, ze mną niech pan nie prowadzi tej gry, ja sobie poradziłem z grubszymi rybami. Niech pan sobie zapamięta, rozmawia pan z sędzią śledczym Łamzaginem i o tym co potrafię zaświadczy obecny tu naczelnik więzienia, pan Winnicki.

Milczałem, udając obojętność.

— Dobrze, milczy pan, a to pan zna?

Jednym ruchem cofnął wstecz leżącą na stole kopertę, z której wysunęły się zdjęcia — moje fotografie.

— A tu kto? Czy nie pan, panie Witecki-Ściborowski?

Pochyliłem się i udając, że widzę te podobizny po raz pierwszy, rzekłem:

— To rzeczywiście ktoś uderzająco podobny do mnie, ale to nie ja. Przecież to człowiek z numerem na piersi.

Oglądałem swoje własne zdjęcie en face, na którym widniałem z tablicą na piersi i uwidocznionym na niej numerem.

— Nigdy nie miałem takiego zdjęcia.

— Nie? Nigdy?

Milczał chwilę, kiwając z politowaniem głową, ale widziałem, że traci już cierpliwość.

— No tak, pan nigdy nie miał tych zdjęć, ponieważ one pochodzą z akt pańskiej sprawy z 1927 roku. Trzeba przyznać, że się pan niewiele zmienił.

Winnicki wtrącił:

— Ani zewnętrznie, ani wewnętrznie.

— A matkę pan ma?

Sędzia śledczy nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Nie, nie mam matki.

Przybyłemu strażnikowi kazali mnie odprowadzić do celi.

Śledztwo toczyło się dalej, ale któregoś dnia — tak mi się wydawało — mieli już tyle dowodów, że mogli przystąpić do skonstruowania aktu oskarżenia. Wezwano mnie do kancelarii i wtedy się okazało, że mają jeszcze jakieś wątpliwości. Inspektor oświadczył:

— Pojedziecie do Lublina.

Rozumowałem wówczas tak: sprawa musi się odbyć w Sądzie Okręgowym na terenie tego województwa, gdzie mnie schwytano, ale w takim razie, czemu wysyłają mnie do Lublina? Przecież za Lublin sądzili mnie już w 1927 roku — i nagle pojąłem: matka! Skonfrontują mnie z matką.

Chwyt był niezawodny, bo któraż to matka nie zechce w rodzonym synu poznać swego dziecka? Która matka wyrzeknie się własnego dziecka? Wówczas to przypomniałem sobie, że wszak ja sam tyle razy, w toku śledztwa wypierałem się matki, czemuż więc moja matka nie mogłaby postąpić w podobny sposób? Przecież chodzi o obronę przed krzywdzącym, klasowym wymiarem sprawiedliwości! Może ta biedna, stara kobieta zrozumie tę wyższą rację i wbrew wszystkiemu, wbrew własnej naturze, wbrew własnej miłości i czułości matczynej, powie, że ja nie jestem jej synem? Myśl ta kołatała w mej głowie w czasie długiej i męczącej podróży ze skutymi rękami i nogami, ale cóż mogłem uczynić, aby zapobiec najgorszej ewentualności, możliwości szczerego wyznania, że oto matka przyznaje się do swego syna?

Pomyśl, Kleparz, ten nieszczęśliwy Kleparz, którego okrzyk minął jakoś bez konsekwencji nie mógł opanować się na widok znajomego, a cóż dopiero matka, która po pięciu latach widziała mnie zaledwie pięć czy sześć dni, a obecnie po dwóch latach blisko znów mnie widzi i to w jakich okolicznościach! Za kratą więzienną.

Do więzienia w Lublinie schodziło się codziennie po kilku szpicli. Znów się rozpoczął znany mi już korowód defensywiaków i prowokatorów, podobny do tego jaki się odbywał wówczas, gdy leżałem w mieszkaniu matki.

Poznawali, czy nie poznawali? Stałem u kraty oddzielającej korytarz od klatki schodowej wiodącej do górnych pięter i cel, a oni mnie mijali nie mówiąc ani słowa, po czym znikali za najbliższymi drzwiami kancelarii. O czym zeznawali za tymi drzwiami? Niektórzy, mijając mnie uśmiechali się szyderczo — byli to starzy szpicle z naszego terenu, ich uśmiech zdawał się mówić: he, he, bratku, cwany jesteś, bo cwany, ale tym razem ci się nie uda. W imaginacji widziałem ich lekceważący ruch dłonią, który wyjaśniał wszystko: szkoda gadać, przepadłeś.

Któregoś dnia wezwano mnie ponownie do kraty. Tym razem miałem po obu bokach asystę: po prawej stał sędzia śledczy, po lewej starszy inspektor więzienia. W pewnej chwili otwarto gwałtownie drzwi kancelarii i w pośpiechu przyprowadzono przed kratę moją matkę. Poznałem ją od razu, poznałem po twarzy, po chodzie, po szczególnym pochyleniu głowy. Stojący obok mnie nie obserwowali mnie, patrzyli uporczywie przed siebie, wbiwszy wzrok w stojącą przed nami kobietę.

— Nie mówić! Nie mówić!

Nie widziałem wołającego, ale rozkaz ten podciął mnie i z trudem zapanowałem nad sobą. Matka poprawiła powolnym gestem włosy, wymykające jej się spod chustki i stała milcząc. Sędzia śledczy, przez kratę, zapytał ostro i szybko jakby nie chciał zostawić matce czasu do namysłu:

— Kim jest ten człowiek?

Matka lekko wzruszyła ramieniem.

— Nie wiem.

— Przecież to syn pani!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— To nie jest mój syn.

— Proszę wyjść, wyjść!

Stałem obojętnie u kraty, nie odwracając głowy, a przecież tak bardzo chciałem jeszcze raz spojrzeć za odchodzącą, tak bardzo chciałem ją jeszcze widzieć przez chwilę.

Po dalszych dwóch miesiącach zakończyli śledztwo. Przyznałem się do właściwego nazwiska, zwłaszcza, że po nawiązaniu kontaktu z Partią, okazało się, że defa nie wie nic o mojej ostatniej robocie na terenie radomskiego. Wielu ludzi z tego terenu powpadało, robotnicy i chłopi, potem jeden z tych nauczycieli, ci drobni rzemieślnicy, ale żaden nie przyznawał się do znajomości ze mną, mimo — i to jest pewne — że niejednokrotnie okazywali im moją fotografię. W tych okolicznościach pogląd Partii był taki: lepiej przyznać się do posiadanego fałszywego paszportu, za co groził stosunkowo niewielki wyrok, aniżeli niepotrzebnie przedłużać śledztwo, które może z czasem ujawnić jakieś nieznane do tej pory szczegóły. Oczywiście to niewiele mi pomogło. W czasie rozprawy sąd stanął na stanowisku, że fałszywy paszport uzyskałem przy pomocy KPP i to w celach ściśle określonych, mianowicie w celu prowadzenia roboty rewolucyjnej. Wlepili mi ponownie pięć lat.

I pomyśl, ale o tym dowiedziałem się dopiero znacznie później, po wyjściu z więzienia, już w czasie wojny: moja matka przez cztery lata zabiegała u władz sądowych o widzenie, ale go nigdy nie dostała. W prokuraturze mówili jej, naigrawając się ze staruszki jawnie:

— Przecież pani nie zna swojego syna, skądże więc taka miłość do tego Ściborowskiego? Czy pani się wydaje,

że byle kto może odwiedzać w więzieniu komunistę? Jeszcze gdyby to była matka, albo jakaś bliższa rodzina, to pół biedy, ale tak?

— Ale on się przecież przyznał, że się nazywa Witecki — mówiła. — Przecież mówił, że ma matkę w Lublinie.

— No tak, odpowiadano jej pyszałkowato — mówił, ale w czasie tego widzenia, ani on, ani pani nie przyznaliście się do tego pokrewieństwa.

Z Wronek, jak ci wiadomo, wyszedłem, a raczej wydarłem się w chwili wybuchu wojny, z początkiem września 1939 roku. Oczywiście nie wróciłem do Lublina, gdzie mnie wszyscy znali, tylko zadekowałem się w Warszawie, by ponownie zabrać się do roboty, tym razem do walki z okupantem faszystowskim. Z tego czasu pochodzi ten wąs — pogładził go z dumą i uśmiechnął się. Matka odwiedzała mnie od czasu do czasu i dopiero po wojnie zabrałem ją do siebie. Niejeden raz pytałem ją o to, skąd wiedziała wówczas, w czasie tego widzenia przy kracie, że nie należy przyznawać się do mnie.

— Ech, widzisz synku — od niedawna mówi do mnie w ten sposób, a przecież jestem już stary chłop — synku widzisz, jak oni mnie s a m i, podkreślała w swoisty sposób to „sami" prowadzili do ciebie, to pomyślałam sobie, że to niedobrze tak. Jak oni mnie sami z honorem prowadzą do ciebie, to znaczy, że ja nie powinnam pójść z nimi, bo oni czegoś chcą ode mnie. A jak oni czegoś chcą, to mnie nie wolno, rozumiesz, to mnie nie wolno było robić tego, co oni chcieli. Chcieli, żebym cię poznała, chcieli, żebym się do ciebie przyznała i wtedy nie wiedziałem jeszcze, czy dobrze robię, czy źle, mówiąc, żeś ty nie mój syn. Dopiero później, jak się mścili, jak nie chcieli mi dawać widzenia do ciebie to zrozumiałam, żem dobrze zrobiła, nie przyznając się do ciebie. Bo jak oni się ciskali, to ja wiedziałam, że jestem w porządku, a gdyby byli dla mnie grzeczni, to by znaczyło, że im w czymś pomogłam, a jak im pomogłam, to tobie mogłam tylko szkodę przynieść.

Sięgnął po okulary, znów je oczyścił, mimo że zabieg ten był niepotrzebny i dodał:

— I widzisz, to ja nazywam instynktem klasowym.

Milczał chwilę i wówczas bąknąłem:

— Powiadasz: instynkt. Wiesz, myślałem trochę nad tym, nad sprawą tak zwanego instynktu klasowego i myślę, że go nie ma. Nie, żeby go w ogóle nie było, ale w twoim wypadku, w wypadku twojej matki to nie był instynkt tylko świadomość klasowa. Przecież w postępowaniu twojej matki wówczas był rozum polityczny. W moim rozumowaniu to wygląda tak, że taktycznemu posunięciu wroga klasowego matka przeciwstawiła swoją robotniczą świadomość: jeżeli ty chcesz tak, to znaczy się, że ja muszę inaczej, bo tam gdzie moje postępowanie odpowiada zamiarom wroga klasowego, tam następuje pojednanie, zgoda, a moja zgoda z wrogiem klasowym może być zwrócona jedynie przeciwko klasie robotniczej. Gdzież więc tu instynkt? Świadomość bracie, proletariacka świadomość!

Stanisław Wygodzki

CZYTELNIK

Brzechwa J.

KANATO

str. 31 zł 180.—

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Trzeba pomóc orkiestrze

W tygodniowych recenzjach z koncertów Państwowej Filharmonii w Warszawie zamieszczamy niejednokrotnie uwagi na temat warszawskiej orkiestry symfonicznej. Uwagi te są różne — raz pochlebne, raz krytyczne — zawsze podyktowane życzliwością, zrozumieniem trudności, troską o dalszy rozwój najważniejszej placówki koncertowej stolicy. Przy takim jednakże podejściu sytuacja recenzenta bywa często wielce kłopotliwa. Jeśli bowiem chwalimy orkiestrę, czynimy to niekoniecznie dla efektywnych rezultatów, często dalekich od ideału, ile za wysiłek, rzetelność pracy, uczciwe podejście do wykonywanego utworu. Za maksymalne osiągnięcie w ramach istniejących możliwości. Pisząc, że „orkiestra brzmiała dobrze" w tym czy innym utworze, zdajemy sobie jasno sprawę, iż na przykład smyczki nie grały równomiernie, że „dętkom" zdarzały się „potknięcia", że „piano" dalekie jest od tego, aby było naprawdę ciche, a „crescendo" — stopniowe wzmacnianie dźwięków — ma wybitnie krótki oddech.

Sięgnijmy do przykładów z niedawnych wykonań: uwertura „Sen Nocy Letniej" Mendelssohna to czarująca muzyka pod warunkiem, że instrumenty dęte grają z niezwykłą lekkością, brzmienie zaś smyczków przypomina coś, jakby subtelny, a wyrazisty szept. Zamiast „szeptu" mieliśmy w praktyce brzmienie średnio głośne, dosyć chropawe i tak ciężkie, że cały ten szekspirowski powiewny „świat elfów" wydawał się dziwnie ociężały i materialny. Przykładów takich można by przytoczyć bardzo wiele.

Z drugiej strony, jeśli przychodzi nam coś zganić, czynimy to z ciężkim sercem i prawie bez przekonania. Krytyka winna być zawsze twórcza — ganić należy więc przede wszystkim wtedy, gdy winę za niedociągnięcia ponosi wykonawca czy wykonawcy utworu muzycznego i od ich wysiłku zależy poprawienie stanu rzeczy. Tymczasem stan istniejący w Państwowej Filharmonii nie jest zależny ani od ożywionych najlepszą wolą członków orkiestry ani od wysoce fachowego kierownictwa tej placówki.

Do tego, aby jakaś orkiestra reprezentowała wysoki poziom artystyczny, muszą być spełnione następujące warunki:

1. *Orkiestra taka musi pracować ze sobą szereg lat.* Nabiera wtedy doświadczenia, rutyny, poszerza i pogłębia znajomość literatury symfonicznej, inaczej mówiąc — powiększa się ilość utworów, które są w jej repertuarze i które może wykonać bez większej ilości prób. Członkowie orkiestry poznają się nawzajem, przyzwyczajają do pracy zespołowej. Tworzy się to wszystko, co można by nazwać tradycją danej orkiestry.

Tego warunku nie da się, oczywiście, przyśpieszyć ani przeskoczyć. Młoda orkiestra warszawska stopniowo nabiera rutyny, trzeba jednak poczekać jeszcze pewną ilość lat, zanim będzie się mogła równać z zespołami o długich tradycjach.

2. *Orkiestra musi posiadać wysoko gatunkowe instrumenty.* Sprawa ta nie przedstawia się wesoło. Filharmonia Warszawska dysponuje instrumentami o bardzo niejednolitej wartości. Niepotrzebujemy dodawać, jak dalece ujemnie wpływa to na czystość i szlachetność brzmienia orkiestry. Jeśli Państwowe Zakłady Przemysłu Muzycznego nie są jeszcze w stanie dostarczyć instrumentów należytej jakości — trzeba sprowadzić je z Czechosłowacji, gdzie jest ich dostateczna ilość. Ten warunek jest stanowczo osiągalny i należy go spełnić bez względu na koszta.

3. *Orkiestra musi składać się z dobrych muzyków.* Ta sprawa nie wygląda najgorzej. W zespole warszawskim pracuje szereg dobrych i rutynowanych instrumentalistów. Reszta — to młodzi muzycy, którzy mają szanse na to, by rozwijać się i dorównać starszym kolegom.

4. *Orkiestra musi mieć stałego* (jednego lub więcej) *kapelmistrza*, i to kapelmistrza *wysokiej klasy*. I w tym punkcie nie mamy żadnych zastrzeżeń. Osoba zarówno Górzyńskiego, jak Mierzejewskiego napełnia nas całkowitym zaufaniem. Należałoby tylko zwrócić uwagę na potrzebę osobnych korepetycji poszczególnych grup instrumentalnych (instrumentów dętych drewnianych, blaszanych, smyczków) pod kierunkiem kapelmistrzów, ewentualnie niektórych, najbardziej doświadczonych kolegów z orkiestry. Można by nawet pomyśleć o okresowym sprowadzaniu w tym celu wybitnych instrumentalistów spoza Warszawy, nawet spoza Polski. Wymaga to jednak dodatkowego czasu na próby, co znów wiąże się z następnym punktem a mianowicie:

5. *Orkiestra musi mieć czas i odpowiednie warunki do pracy.* Rozumiemy przez to uposażenie pozwalające na nieprzyjmowanie dodatkowych zajęć zarobkowych, na całkowite dysponowanie czasem dla odbywania codziennych prób i indywidualnego doskonalenia się w grze na swoim instrumencie. Warunki pozwalające skupić się w pracy wyłącznie dla jednej instytucji.

Jak wyglądają warunki pracy orkiestry warszawskiej?

Obsługuje ona Filharmonię, dla której przygotowuje jeden program w tygodniu (niedzielne poranki są prawie zawsze automatycznym powtórzeniem piątkowego wieczoru). Ta sama orkiestra obsługuje Państwową Operę. Oprócz więc 2 koncertów daje tygodniowo 5 przedstawień operowych, poza codziennymi próbami filharmonicznymi (wcale nie za dużo na opracowanie poważnego programu). W okresie przedpremierowym dochodzą męczące próby operowe, odbywające się zazwyczaj popołudniu. Ale to nie wszystko. Większa część członków orkiestry obsługuje ponadto Polskie Radio, Film Polski i Państwowe Zakłady Fonograficzne (nagrania płytowe), nie licząc udziału w okolicznościowych akademiach.

Wydaje się, że tu przede wszystkim leży sedno zagadnienia. Przy pracy tak ciężkiej a jednocześnie tak rozproszonej najlepszy nawet muzyk musi w końcu wyjść z formy. Nie ma czasu na opracowanie poza próbami trudniejszych miejsc swojej partii, co niejednokrotnie jest koniecznością — wiecznie się śpieszy. Przemęczenie i zdenerwowanie rozluźnia w nim niezbędną dyscyplinę. Utwór przygotowany jest pośpiesznie, nie ma czasu na gruntowne wycyzelowanie jakiejś koncepcji wykonawczej — dobrze jeśli jest zagrany mniej więcej czysto. A cóż dopiero, jeśli ma się do czynienia z jakimś nowym i szczególnie trudnym utworem?... O tym co nazywamy *interpretacją*, nie ma mowy. Dyrygent z konieczności „przejeżdża" jakoś bardziej ryzykowne miejsca, cierpi na tym jego autorytet, cierpi wiara orkiestry we własne siły i możliwości, cierpi wreszcie słuchacz.

W warunkach, o których piszemy, za stan ten nie ponosi odpowiedzialności ani orkiestra ani kapelmistrz ani kierownictwo Filharmonii. Po prostu rozwój życia muzycznego stolicy sprawia, że jedna orkiestra nie jest w stanie podołać obowiązkom wynikającym z potrzeb kulturalnych, które rosną z dnia na dzień. Palącą koniecznością staje się *stworzenie* w Warszawie (lub sprowadzenie na stałe z prowincji) *drugiej orkiestry symfonicznej*. Jedna obsługiwałaby wyłącznie Operę, druga — Filharmonię. Pozostałymi obowiązkami orkiestry mogłyby się podzielić równomiernie. Takie rozwiązanie pchnęłoby rozwój życia muzycznego Warszawy na nowe tory, pozwoliłoby obu orkiestrom osiągnąć poziom godny stolicy kulturalnego państwa, a nowemu słuchaczowi dałoby możność odbierania muzyki nie tylko wartościowej, ale na najlepszym poziomie wykonawczym.

Wawrzyniec Żuławski

O rewolucji kulturalnej

(dokończenie ze str. 2)

wimy przede wszystkim o jego humanistycznej wierze w człowieka, w jego wartość, w jego twórcze możliwości. To jest owa treść podstawowa i najważniejsza, jaką widzimy w pojęciu „kultura", i dlatego właśnie powiadamy, że nie ma „apolitycznej" oświaty, tak samo jak nie ma „bezpartyjnej" literatury. Lenin pisał: „I my, socjaliści, demaskujemy tę obłudę, zdieramy fałszywe szyldy — nie po to, by uzyskać literaturę i sztukę bezklasową (to będzie możliwe dopiero w pozaklasowym społeczeństwie socjalistycznym), lecz po to, by literaturze obłudnie wolnej a w istocie związanej z burżuazją przeciwstawić literaturę rzeczywiście wolną, jawnie związaną z proletariatem".

Chcemy kształtować świadomość ludzką na wiedzy socjalistycznej, która służy człowiekowi, na socjalistycznej literaturze, która walczy o wolność człowieka, na socjalistycznej pracy, która uzbraja go do walki — bo tak rozumiemy walkę o pokój. Jeśli odgradzamy się i będziemy się odgradzali od wpływów ideologicznych współczesnej kultury burżuazyjnej, od „Ridders Digestów" aż do teorii filozoficznych Russela czy Huxleya, to dlatego, że podwórzowa kryminologia brukowej literatury służy wojnie tak samo, jak naukowe wywody Huxleya o przeludnieniu świata. Świadome budowanie nowego ustroju — to nie jest coś, co może załatwić PKPG: muszą brać w nim udział wielomilionowe masy świadomych twórców.

Nasza ofensywa kulturalna, nasza praca w służbie kulturalnej rewolucji zmierzać musi do tego, by tym wszystkim, którzy realizować będą plan sześcioletni, dać świadomość jego celów i roli; by ich nauczyć odróżniać przyjaciół od wrogów, by w nich wykształcić socjalistyczne rozeznanie świata. Jak krzepnie ono w szeregach narodów radzieckich w ich codziennym trudzie budownictwa; jak narasta śród proletariatu krajów, które zrzuciły jarzmo kapitalizmu; jak hartuje się w ogniu walki ludów uciśnionych i proletariatu broniącego wolności swej ojczyzny na ulicach Paryża i Mediolanu, w dokach Marsylii i na ugorach południowych Włoch — tak musi krzepnąć, hartować się i narastać u nas w walce o nasz rozwój gospodarczy, o budowę nowych miast, kolei, fabryk, gospodarstw spółdzielczych, w codziennych postępach naszej rewolucji kulturalnej, w rozwoju sił twórczych socjalistycznej kultury.

I to się właśnie nazywa międzynarodową walką o pokój.

Jerzy Pański.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Adam Mickiewicz — Zbiór wierszy, listów i rozmów z lat 1817 — 1631 w układzie Adama Mauersbergera. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 277.

Włodzimierz Majakowski — Wiersze i poematy, wybór przekładów opracował Adam Ważyk. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949, str. 342.

Edward Bass — Cyrk Humberto. Przełożył z czeskiego Zdzisław Hierowski. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 556.

Andrzej Nowicki — Kłopoty rodzinne papieży. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 75.

O dalszy rozwój oświaty — sprawozdanie z Krajowej Narady Oświatowej PZPR. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 98.

Tomasz Atkins — Polityka Watykanu. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949 r., str. 111.

Józef Cywiak i Roman Juryś — Rajk, Tito, Wall Street. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949, str. 77.

Heinz Kühne — Szpiedzy z SPD. Z niemieckiego oryginału opracował Marian Podkowiński. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 84.

Aleksander Abusch — Naród na manowcach. Przełożył Alfred Liebfeld. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 243.

Sprostowania

Zamieszczony w drugim numerze „Nowej Kultury" wiersz Leopolda Lewina zatytułowany „Fragment poematu", jest fragmentem „Poematu o Stalinie", co na prośbę autora niniejszym prostujemy.

W poprzednim numerze „Nowej Kultury" na stronie 3 w pierwszym fragmencie tekstów Kołłątaja znalazł się błąd korektorski: w wierszu 10 zamiast „nikczemnego" — powinno być „NIKCZEMNIONEGO".

mała kronika

ZAKOŃCZYŁA się trzecia sesja Stałego Komitetu Obrońców Pokoju, setki milionów ludzi podpiszą rezolucję potępiającą bombę atomową i uznającą za zbrodniarza wojennego każdy rząd, który pierwszy użyje tej barbarzyńskiej broni masowego zniszczenia. Będziemy przeżywać decydujące miesiące w walce o pokój, gdyż, jak pisał Erenburg, zaciekłość atomowców doszła do szczytu. Z tego szczytu albo się widzi ogromne horyzonty i się przytomnieje, albo się leci w przepaść.

Na szczęście obok atomowców na ziemi żyją również zwykli ludzie. Na groźby fizycznego wyniszczenia świata odpowiedzieli oni wzmożoną czujnością i pracą. Aby wyrazić sens polityczny pracy w świecie socjalistycznym, nie wystarczą pojęcia odbudowy i dobrobytu. Nie ma odbudowy i nie może być dobrobytu bez upartej walki o utrzymanie pokoju. Inicjując czyn pierwszomajowy, robotnicy cementowni „Grodziec" wezwali robotników wszystkich zakładów pracy, aby przeanalizowali możliwości przekroczenia swych planów produkcyjnych, wykorzystania rezerw i sposobów usprawnienia dla przedterminowego wykonania zadań pierwszego roku naszej sześciolatki. Nasza walka o przekroczenie planu, o każdą tonę cementu, pisze załoga „Grodźca" w rezolucji, to nasz udział w walce mas pracujących całego świata o pokój.

Polski plan gospodarczy przewidywał na rok ubiegły wzrost wartości produkcji w stosunku do roku 1948 o prawie 18 proc., lecz dalsze pięć procent uzyskaliśmy dzięki współzawodnictwu klasy robotniczej. Inicjatywa mas ujawniła nowe możliwości produkcyjne naszego przemysłu. Na rok 1950 przewidzieli ekonomiści wzrost produkcji o 22 proc. w stosunku do roku poprzedniego, lecz i ten plan na pewno będzie przekroczony. Cyfry są wymowne; mówią one, że współzawodnictwo, racjonalizacja systemu produkcji, usprawnianie narzędzi pracy, wynalazczość klasy robotniczej, dzięki której je uzyskano, są wyrazem wiary w sens pokojowej, codziennej pracy. Wyrażają pewność, że potrafimy narzucić pokój obłąkańcom na szczycie szaleństwa. Otwierają się przed nimi groźne i piękne perspektywy. Piękno ich nie wzruszy, ale otrzeźwi siła.

Na groźby wodorowców, którzy krzyczą o konieczności trzeciej wojny, cierpliwie się odpowiada, że pokojowe współżycie między socjalizmem a systemem kapitalistycznym jest możliwe. W obliczu ludzkości nie słowa propagandy, lecz czyny mają wartość. Z jednej strony anarchia gospodarcza, miliony bezrobotnych, faszyzacja „demokratycznych" rządów, ucisk imperialistyczny, krwawy reżim w koloniach i krajach półkolonialnych. Z drugiej — umiejętna gospodarka bogactwami przyrody, rozwój duchowych sił człowieka. Hic Rhodus, hic salta! We współzawodnictwie między ustrojem kapitalistycznym a socjalizmem decydujące znaczenie mają osiągnięcia w organizacji pracy, a więc rozwój kulturalnych kadr klasy robotniczej, mówił niegdyś W. Mołotow.

Kadry decydują o wszystkim! Wiedzą o tym również kapitaliści. Od pokoleń wychowują techników i specjalistów, uczynili z nich wartowników swojego zysku, stworzyli własne prawo i moralność. Co by było, gdyby rekiny zamieniły się w ludzi, zastanawiał się raz Bert Brecht. Stałyby się kapitalistami. Rekin naftowy uprawiałby filantropię jak Rockefeller, a rekin od aut zaglądałby do łóżek robotników, pilnując ich moralności jak Ford. Ogłaszając w czterech punktach program uzdrowienia świata kapitalistycznego, Truman zachęcał kapitalistów, aby wywozili kapitał ze Stanów Zjednoczonych dla celów humanitarnych. Ale oni się ociągają, chcą gwarancji, boją się socjalizmu. W każdym podręczniku dla managerów amerykańskich można przeczytać, że nie dobro ludzi lecz zysk przedsiębiorstwa winien być jedynym drogowskazem działalności dyrektora. Głupcy dziwią się, sprytniejsi utożsamiają zysk swego przedsiębiorstwa z dobrem ludzkości. Na znak, że przyszły manager pojął lekcję, musi wpisać u dołu każdego rozdziału odpowiednią adnotację. Potem pozostaje mu już tylko czytanie Biblii, jak handlarzowi niewolników z poematu Browna.

Ani adnotacjami, ani groźbami kapitalizm nie powstrzyma kulturalnego rozwoju klasy robotniczej. 15 tysięcy robotników, wysuniętych na kierownicze stanowiska w młodym przemyśle ludowym, dwieście tysięcy słuchaczy kursów partyjnych — oto zalążek kadr nowej inteligencji socjalistycznej, argument w walce o pokój. Kapitalizm lęka się bowiem nie tylko socjalistycznych czołgów i socjalistycznego chleba, boi się on przede wszystkim socjalistycznego człowieka.

W znakomitej rozprawie „Współzawodnictwo — dźwignią rozwoju techniki", zamieszczonej w specjalnym numerze „Myśli Współczesnej", I. Epstein podaje porywający przykład nowatorstwa technicznego robotnika radzieckiego Bortkiewicza, który po długich i mozolnych próbach wynalazł nowy proces techniczny, zmniejszając czas obróbki metali z dwu i pół godzin do — sześciu minut i 49 sekund. Opisując pracę swej obrabiarki na wysokich prędkościach, Bortkiewicz mówił, że „wysokie prędkości — to prędkości radzieckiego robotnika, gospodarza obrabiarki, fabryki, swojego kraju". Racjonalizacja i przyśpieszenie procesu produkcji, usprawnianie narzędzi pracy, oszczędzanie materiału — to sposób pracy socjalistycznego robotnika, gospodarza swojego świata, odpowiedzialnego za pokój i bezpieczeństwo ludzkości.

Dziennie w roku 1950 ukaże się w Polsce ćwierć miliona egzemplarzy książek i ponad cztery i pół miliona egzemplarzy czasopism. Wysiłek polskiej klasy robotniczej, praca wyborowych kadr społeczeństwa stworzyła tę wspaniałą bazę dla naszej publicystyki i literatury. Życzmy sobie, towarzysze pisarze, aby znalazł w nich godne miejsce socjalistyczny typ człowieka, aby pomagały one w wychowaniu nowych kadr, aby każdy egzemplarz książki i gazety wart był tony cementu z „Grodźca", aby umacniał pokój jak cement.

TADEUSZ BOROWSKI

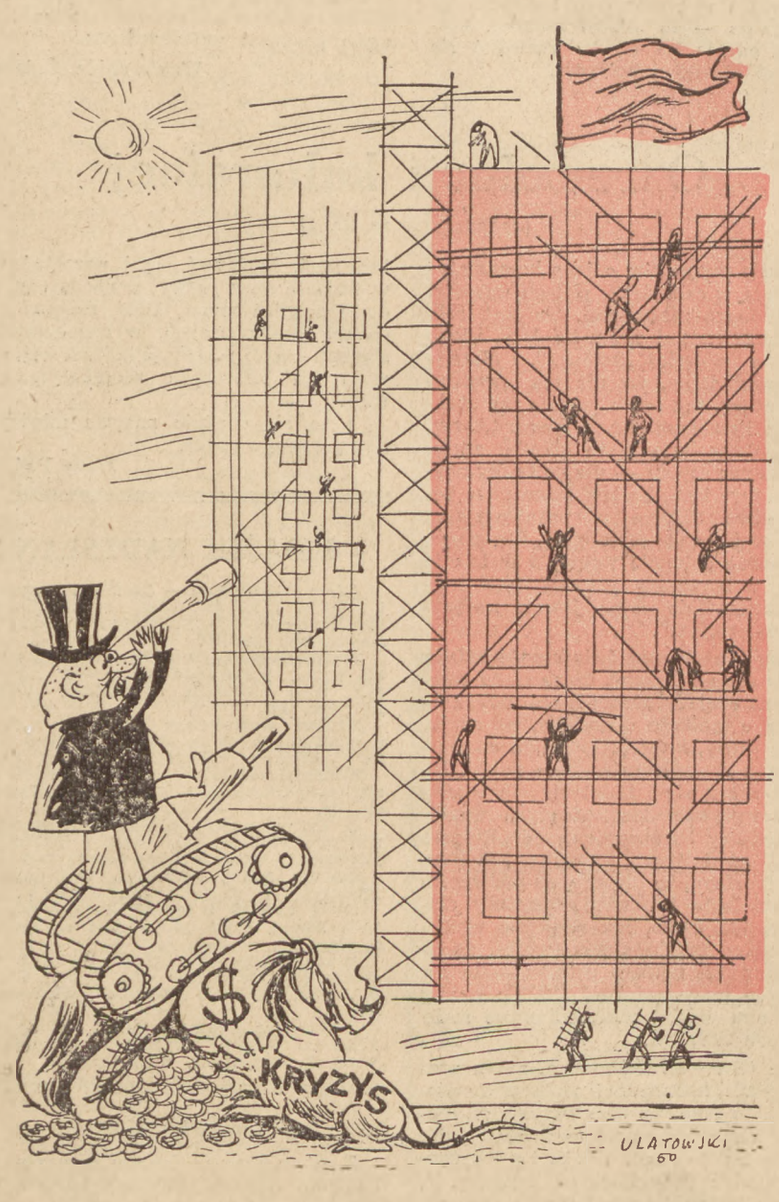

DWIE PERSPEKTYWY

Komentarze

Czyja to zasługa?

W wydawnictwie Związku Literatów Czechosłowackich ukazały się po czesku „Płomienie" St. Brzozowskiego, w przekładzie Heleny Teigowej. Podobno w Pradze zapowiedziano tę książkę jako wybitne osiągnięcie polskiej literatury rewolucyjnej.

Warto zapytać, kogo z naszego aparatu propagandy kulturalnej za granicą należy pochwalić (może odznaczyć) za zalecenie w Pradze (lub nieprzestrzeżenie przed wydaniem) tego paszkwilu na polski i rosyjski ruch rewolucyjny, jakim są „Płomienie" — i za popularyzowanie w ten sposób w zaprzyjaźnionym kraju twórczości Stanisława Brzozowskiego, prekursora polskiego faszyzmu, winowajcy straszliwego zaśmiecenia tylu głów inteligenckich. **pho.**

Na Brodwayu bez zmian

ostatnio garść szczegółów, które rzucają charakterystyczne światło na zagadnienie teatru w USA. Reżyser John Haussmann stwierdził w „Harpers", że w ciągu dwudziestu lat ilość premier teatralnych w Stanach Zjednoczonych zmalała trzykrotnie a ilość teatrów prawie czterokrotnie. W Nowym Jorku rocznie „znika" około trzech teatrów, które zamienia się na sale kinowe. Takie miasta jak Pittsburg, Baltimore, Cleveland, St. Louis i Kansas City posiadają po jednym tearze, czynnym przeważnie w sezonie. Liczące dwa miliony mieszkańców Los Angeles ma jeden teatr, grający tylko sześć miesięcy w roku. W stolicy Stanów istniał dotychczas tylko jeden teatr, który został zamieniony na kinoteatr.

Na Broadwayu w Nowym Jorku został z przyczyn finansowych zlikwidowany teatr „Lyceum" a wkrótce potem teatr „Chillinger", którego nie uratowała banalna rewia muzyczna „Wszystko dla miłości". Deficyt kasowy nowojorskich teatrów wyniósł w pierwszych miesiącach obecnego sezonu 4,5 miliona dolarów, tak że wielu przedsiębiorców zapowiedziało zamknięcie swoich teatrów. O tym, żeby na Brodwayu zagościła jakaś sztuka klasyczna, nie można oczywiście marzyć. W ostatnich latach niejaki Josua Logass pokusił się o wystawienie „Wiśniowego sadu" Czechowa; reżyser zmienił tytuł na „Glicynie" (?) a akcję przeniósł na plantację bawełny w stanie Louisiana. Ale i ten genialny pomysł zawiódł i sztuka padła. Nic dziwnego, że „Times" w artykule „Słaby puls" nazwał amerykański teatr „wiecznym inwalidą, któremu nie pomoże żadne lekarstwo". Tak mają się — w ujęciu pism amerykańskich — sprawy teatru w kraju, który się mieni twierdzą „zachodniej kultury". **rk**

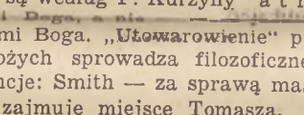

ANTONI MARIANOWICZ

BALLADA

w stylu Mistrza Franciszka Villona wicehrabiemu Karolowi de Gaulle przypisana.

Karolu, wielki tylko wzrostem,
Który pitrasisz zamach stanu
Pytanie postaw sobie proste:
Jaki zwykł bywać kres tyranów?
Jeżeli nosem czujesz pismo,
A nos masz wybujały srodze,
Toś już odpowiedź snadnie wysnuł...
Ach, kędyż są drzewiejsze wodze?

Gdzie Adolf bawi dziś uroczy,
Który nowego chciał porządku
Blaski wokoło nam roztoczyć
Lecz się usmażył, niebożątko?
Gdzież wąsik, loczek, gracja, swada,
Wspomnij czasami nań — i w trwodze
Znowu pytanie sobie zadaj:
Ach, kędyż są drzewiejsze wodze?

Kędy Benito jest postawny —
Niezbyt rozkoszne jego dzieje.
Gdzież się zapodział splendor dawny?
Hej, jak ten wichr, co w polu wieje...
Pamięć tyrana rychło więdnie
Któż dzisiaj wspomni o niebodze?
Zadyndał sobie nader smętnie,
Ach, kędyż są drzewiejsze wodze?

PRZESŁANIE

O, wicehrabio, nim po władzę
Zapragniesz się zamachnąć srodze
Miej ciągle w myśli, dobrzeć radzę:
Ach, kędyż są drzewiejsze wodze?

Błąd czy złośliwość?

W mojej polemice z „uniwersalnymi" krytykami „Dziś i Jutro" w poprzednim numerze pisma zdarzyło się kilka korektorskich przeoczeń, które wypaczają sens filozoficzny twierdzeń przeciwnika i złe światło rzucają na intencję polemisty.

W przytaczanym urywku z artykułu M. Kurzyny dobro, prawda i piękno są określane jako wartości r e l a t y w n e, a nie — jak błędnie podano — realistyczne; również wyżej wspomniane dobro, prawda i piękno są według P. Kurzyny a t r y b u t a m i Boga, a nie — [illegible] tykułami Boga. „Utowarowienie" przymiotów bożych sprowadza filozoficzne konsekwencje: Smith — za sprawą maszynistki — zajmuje miejsce Tomasza.

Co do intencji — zapewniam, że to nie perfidia, złośliwość czy zabójczy chwyt polemiczny, tylko — zwykły błąd korektorski. **tdr**

Temelin, buraki, Bach, traktor i regaty

Kupiłem sobie na święta parę tygodników i korzystając z wolnego czasu, spokojnie i bez pośpiechu przewertowałem je. Poddając się nastrojowi świątecznego odpoczynku, szukałem przede wszystkim ciekawej prozy i ładnej poezji.

Czytając w 2-im numerze „Nowej Kultury" Andrzejewskiego podziwiałem po raz już nie pierwszy rzecz tak zasadniczą dla powieściopisarza a tak niesłusznie przez wielu naszych literatów dziś zaniedbywaną: wzgląd na masowego czytelnika, umiejętność zainteresowania go tematem, uderzającą prostotę zastosowanych środków.

— Zwróć uwagę — powiedział mi ktoś z redakcji z odcieniem krytyki — że postacie występujące u Andrzejewskiego, żołnierze, mały chłopiec wiejski, wcale nie mówią takim językiem, jakim zazwyczaj naprawdę rozmawiają ludzie w owym środowisku. Spostrzeżenie było słuszne. Ale jednocześnie z prozą Andrzejewskiego przeczytałem parę dość ciekawych zresztą reportaży, gdzie autorzy bardzo dbali o autentyzm języka ukazanych postaci. Mimo to przy lekturze tych reportaży, gdzie wiernie podchwycone dialogi zastępowały na ogół akcję i plastyczną, syntetyzującą charakterystykę sylwetek ludzkich, musiałem często zmuszać się po prostu do śledzenia wątku, zdarzenia bowiem, mówiąc zwyczajnym językiem, rozłaziły się jakoś pod piórem piszących i „nie brały". Tymczasem początek przygód Jasia z Temelina — zupełnie niezależnie od sensacyjnych wypadków opowiedzianych w drugiej części fragmentu (te właśnie mnie trochę na początku powieści Andrzejewskiego niepokoją, może niesłusznie, zobaczymy), od razu stał się jakiś dla czytającego bliski i zajmujący.

Drugą interesującą prozą, którą przeczytałem podczas świąt, był początek powieści Marii Jarochowskiej pt. „Buraczane liście" — w „Przekroju". Dalszego ciągu pamiętnika guwernantki czytelnik oczekuje z zaciekawieniem.

Z ciekawością zabrałem się także do czytania zamieszczonych w tygodnikach utworów poetyckich. Poeta — powiedział słusznie ktoś sławny — całe życie pisze często jeden wiersz w różnych wariantach. Można to zależnie od okoliczności stwierdzać jako zarzut (ograniczona możliwość przemian) lub jako pochwałę (własny styl, ciągłość). Moje uczucia przy czytaniu wierszy Jarosława Iwaszkiewicza i Konstantego Gałczyńskiego w „Przekroju" były w tym wypadku jak najlepsze. Nie dostałem biletów na rocznicowy koncert Bacha w dniu 7 kwietnia, ale słuchałem Bacha przez radio i później długo odczytywałem sobie piękny wiersz Gałczyńskiego „Wieczór wiosenny Jana Sebastiana Bacha", w którym odezwało się tyle tonów dobrze znanych czytelnikom „Kuferlina" i „Podróży do Arabii szczęśliwej". Gałczyński jest jednym z niewielu współczesnych poetów reagujących silnie w swej twórczości na bodźce jakie daje muzyka i uwzględniających je w tematyce swych wierszy. Niedawno na łamach „Kuźnicy" przypiąłem poecie łatkę za wiersz, który mniej mu się udał, więc tym chętniej akcentuję urok utworu, którym obdarzył nas na święta. Oczywiście pochwały te nie dotyczą „Zielonej gęsi", która nie wiem dla kogo istnieje w Polsce w roku 1950. Jeżdżę czasem po kraju z odczytami o literaturze, „Przekrój" jest w Polsce jednym z najbardziej czytanych pism i wszyscy wciąż pytają mnie o Gałczyńskiego: „co znaczy" ta jego „gęś"? Ludzie lubią wiedzieć, dlaczego i po co drukuje się to co się drukuje. Podejrzewają, że „Zielona gęś" to tajemniczy szyfr, którym Stały Komitet Obrony Pokoju porozumiewa się z Komisją Kontroli Energii Atomowej, a tu tymczasem figa. Muszę dopiero tłumaczyć, że „Zielona Gęś" nic nie znaczy i bronić Gałczyńskiego przed samym Gałczyńskim wyjaśniając, że należy czytać także i inne utwory poety, a nie tylko te, które umieszcza on na ostatniej stronie „Przekroju". Nie wiem czy się to na coś zda, bo część czytelników czyta zawsze w czasopismach tylko ostatnią stronę. Dla tych przeznaczone są właśnie uwagi zawarte w tym felietonie.

Jarosław Iwaszkiewisz wydrukował również w „Przekroju" pełen wdzięku wiersz pt. „Marzec w Paryżu", ironicznie stylizowany na Słowackiego „Hymn o zachodzie słońca". Trochę dziwnie brzmi owo niedopowiedziane „Smutno mi Boże", zrymowane z chłopem „który przy wczesnej pogodzie z pługiem wyrusza — albo na traktorze". Zamiast traktoru prosi się jakieś zwyczajne „i swą ziemię orze", ale poeta jest stanowczy w swym nowatorstwie i choć wiersz mimo to podobny jest bardzo do strof z „Lata 1932" — traktor i „śpiące wnuki" przypominają, że to jednak już nie to samo...

O ile swawolny „Przekrój" dostarczył mi poważnej strawy lirycznej, o tyle poważne „Dziś i Jutro" pobudziło mnie do szczerej wesołości spóźnionym Prima Aprilisem. Oto nieuprzedzając czytelników rozsiało w numerze wiersze kilku zdolnych uczniów II i III klasy gimnazjum, zbliżonych zapewne do redakcji „Dziś i Jutro" za pośrednictwem któregoś z kół Sodalicji Mariańskiej. Jeden z nich, niejaki Marek Antoni Wasilewski, w wierszu „Regaty" pisze:

Zaparci stopami w podpory, ciągniemy
ku sobie wiosła,
Przegięci twarzą ku słońcu, niczym
w niedzielę na plaży.
Dłonie nasze stalowe do drzewca uchwytów
przyrosły:
płyniemy jak galernicy przykuci
zwycięstwa mirażem.

Chłopiec jest oczywiście, zważywszy jego przypuszczalny wiek, dość zdolny. Za parę lat, kiedy zda maturę, może pisać całkiem niezłe wiersze. Myślę jednak, że przed wydrukowaniem swych sportowych utworów w szkolnej gazetce ściennej, której probkę dało nam „Dziś i Jutro", powinien sprawę owych galerników i miraży przedyskutować z krytykiem Z. Lichniakiem lub ze szkolnym polonistą na kółku literackim. Niepokoi mnie także w przytoczonym wierszu strofa ostatnia:

Aż wreszcie ostatnie metry i wszystko
sprzed oczu znika,
Są tylko nasze ręce i ciężkie jak heton
wiosła,
Lecz z rufy biegnie ku nam ożywczy głos
sternika,
Wlewając siłę w mięsień, który na chwilę
osłabł.

Dlaczego liczba pojedyńcza? Czyżby tylko jeden miesięń pracował u Marka Antoniego Wasilewskiego w czasie jego sportowych wyczynów? Byłoby to niezdrowe. Rozwój mięśni musi być równomierny i poeta sportowiec z „Dziś i Jutro" winien o tym wiedzieć. Nie mówiąc już o równomierności rozwoju fizycznego z intelektualnym, co jest oczywiście rzeczą nieco trudniejszą do osiągnięcia.

Wesołą rzeczą jest czasami przeglądanie czasopism w dniach świątecznych...

r. m.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 94. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 100.—; kwartalnie zł 300.—; półrocznie zł 600.—; rocznie 1200.—. Prenumeratę przyjmuje PPK „Ruch" — Oddz. w Warszawie, Plac 3 Krzyży 16, PKO Nr I-15230

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-106060